AS



Nr. 8.
23 LUTEGO 1936 R
CENA 40 GROSZY

W ekstazie..
Fot. Willinger, Wiedeń.

Czy masz bujną fantazję?



Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo

Wezwanie nasze skierowane do Czytelników „Asa“ celem wzięcia udziału w turnieju humoru i fantazji na temat najnieprawdopodobniejszego głupstwa, spotkało się z żywem zainteresowaniem i oddźwiękiem, którego plony, w drobnej tylko zresztą części, podajemy poniżej. Jak widać nie brak nam ani fantazji, ani pomysłowości, a przy odpowiedniem ujęciu tematu powstać mogą małe perełki humoru. Kupon do głosowania znajdą Czytelnicy na stronie 30.

Przypominamy, że nagrody za najlepsze „kawały“ są następujące: pierwsza nagroda, do której przywiązany jest tytuł „króla kawalarzy“ wynosi 100 zł., dwie dalsze nagrody po 50 zł. otrzymują Czytelnicy, którzy zdobyli tytuł szambelanów Jego Kawalarskiej Mości.

★

Tresowany śledź.

Kiedy ubiegłego lata bawiłem nad morzem, złowiłem pewnego dnia żywego śledzia.

— Zabiorę go ze sobą do domu, do mego akwarjum, — powiedziałem.

Ale rybacy okoliczni odradzali mi:

— Bez słonej wody nie wyżyje nawet godziny!

Wobec tego zabrałem ze sobą beczułkę słonej wody do mego akwarjum i śledź czuł się przez cały czas doskonale.



Gdy słonej wody zaczęło stopniowo ubywać, dolewałem potroszeczku zwykłej wody i śledź jaknajlepiej zaaklimatyzował się również w słodkiej wodzie.

— No — pomyślałem sobie — skoro odzwyczaił się od słonej wody, odzwyczai się chyba też wogóle od wody.

I rozpocząłem tresurę.

Wyjąłem śledzia z akwarjum i trzymałem go na powietrzu. Spoczątku przez krótką chwilę, potem coraz dłużej i dłużej. Śledź zrazu trzepotał się i wywracał oczyma, ale stopniowo dzień po dniu coraz bardziej przywykał do nowego środowiska. A po dwóch miesiącach, był już, rzec można, zachwycony pobytem na świeżem powietrzu. Przez cały dzień poruszał się na płetwach i biegał nawet za mną wszędzie jak piesek. Często też prowadziłem go na smyczy ze sobą na spacer.

Lecz pewnego dnia stało się nieszczęście.

Przechadzałem się właśnie z nim po moście, gdy sznurek rozluźnił się, śledź wpadł do wody i — utonął.

Michał Głuski.

★

Przytomność umysłu.

Siedziałem przy obiedzie z kilkoma przyjaciółmi, gdy naraz wybuchła burza i rozległ się straszliwy huk, a piorun uderzył w jednego z mych towarzyszy. Stał się on słupem oślepiającego światła, którego nie mogły znieść nasze oczy. Wszyscy potracili głowy, ja jeden z całą przytomnością umysłu wyrwałem ze ściany kontakt od elektryczności, przyłożyłem porażonemu do ciała, przekręciłem wyłącznik i słup światła stał się znów moim przyjacielem, który rzucił mi się na szyję, łkając z radości. **Jadwiga Sieradzka.**



★

Tramwaj.

Opowiadano mi kiedyś, że do salonu, gdzie towarzystwo złożone z kilku pań i panów grało w brydża, wdarł się nagle przez otwarte okno z ulicy, tak ostry zgrzyt przejeżdżającego tramwaju, że skaleczył poważnie parę osób. Pani domu z upływu krwi zemdlała.

„Król Trefl“.

Połykacz lin.

Podczas walk Francuzów w Marokku dostał się jeden z francuskich żołnierzy do niewoli. Arabowie skazali go na okrutną śmierć, wsadzili go bowiem związanego do wyschniętej, głębokiej studni, aby zaś powiększyć jego męczarnie, wpuścili do studni linę. Biedak szarpał się z początku, starając się zerwać więzy, jednak nadaremnie. Naraz przyszła mu wspaniała myśl do głowy. Żołnierz wziął linę w usta i zaczął połykać. Połykał, połykał tak długo, aż wkońcu zaczął powoli posuwać się w górę; wreszcie osiągnął brzeg studni, a z nim i wolność.

Michał Górski.

★

Przeprawa przez rzekę.

Ekspedycja naukowa, badająca wnętrze centralnej Afryki, a składająca się z kierownika i kilkunastu tragarzy, pewnego dnia natrafiła w swym pochodzie na rzekę, przez którą należało się przeprawić. Brodu szukać nie było czasu, bo zapadała noc, tratwy zaś nie można było sporządzić z braku odpowiedniego materjału. Wtedy jeden z krajowców oświadczył, że zna niezawodny sposób na przebycie rzeki. Zaczął mianowicie dmuchać na wodę. Inni poszli za jego przykładem, na skutek czego woda zaczęła się oziębiać i po pewnym czasie zamarzać przy brzegu. Posuwając się stopniowo po utworzonym lodzie jak po kładce, cała wyprawa przeszła bez wypadku na drugi brzeg.



„Król Trefl“.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 8 **Niedziela 23 lutego 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 8-GO:



FOT. ATLANTIC — BERLIN.

Imponujący widok skoczni narciarskich w Garmisch-Partenkirchen, iluminowanych wspaniałemi ogniami sztucznemi na znak zakończenia IV. Olimpjady zimowej.

...my rządzim światem – a nami kobiety!



Matrony rzymskie stały się symbolem powagi matczynej i cnót rodzinnych.

„Sic mater voluit" — tak chciała matka, oto napis, jaki Jan Sobieski kazał wyryć na tablicy, wzniesionej w kościele w Żółkwi z okazji skromnego pogrzebu swej matki Teofili z Daniłłowiczów Sobieskiej, kasztelanowej krakowskiej, która zastrzegła w testamencie, aby ostatnia jej podróż na ziemi pozbawiona była wszelkiego przepychu. Następnego dnia odbył się drugi pochód pogrzebowy, na którym roztoczono cały ceremonjał, jaki zwykł naówczas towarzyszyć tego rodzaju obrzędom. W kościele ukazała się też druga tablica z napisem: „Sic filio decuit" — tak przystało synowi

Sic mater voluit... Wola matki była drogowskazem dla wielu mężów, których imię zajaśniało w historji, a matka była ich najlepszą doradczynią, powiernicą i całe życie pozostawali pod jej wpływem. Ona to, matka małego Jana Sobieskiego uczyła go obowiązków i pokazując mu tarczę herbową Sobieskich, mówiła: „Z nią albo bez niej", tak jak ongi mawiały matki Spartanki.

Przez całą historję powszechną snuje się podobny do jaskrawej nitki w tkaninie, wpływ matki na dziejowe zdarzenia. Najwięksi mocarze świata schylają przed nią głowę, najwięksi genjusze, nie dopuszczający cudzej krytyki, w tym jednym wypadku czynią wyjątek i słuchają uwag matki. A jeżeli jej nie stanie, jeżeli ich opuściła przed ich wybiciem się ponad otoczenie, to wtedy w duszy ich odzywa się ból, tęsknota za bezinteresowną życzliwą ręką, któraby w ciężkich chwilach ich podparła. Od chwili kiedy prof. Freud wystąpił ze swemi teorjami psychoanalitycznemi na arenie naukowej, przyjęło się pojęcie „kompleksów", zasługujące w wielu wypadkach na miano pozytwnej zdobyczy naukowej. Wśród tych kompleksów bezwątpienia najważniejszym i bodaj najczęstszym jest „kompleks matki". Nic zresztą dziwnego: matka przekazuje dziecku więcej cech charakteru, więcej swojego „ja", niż ojciec, gdyż jest mu bliższą, losy jej i dziecka przez długie miesiące biegną równolegle, ona też stanowi bezpośrednie źródło jego życia. Sprawa „kompleksu matki" jest zawiła i nie da się załatwić ogólnikami, nie ulega jednak wątpliwości, że w większości wypadków cechy charakteru, podświadome odruchy, upodobania i inne drobne składniki mentalności człowieka, pochodzą po matce, natomiast po ojcu dziecko dziedziczy zasadnicze poglądy i tam, gdzie chodzi o cel życiowy i drogi do niego prowadzące, ojciec ma pierwszeństwo. Od matki jednak uczy się dziecko, a również człowiek dorosły sposobów dojścia do tego celu, uczy się chodzenia właściwemi ścieżkami.

Gdy Napoleon I został cesarzem Francuzów i wskrzesił dawne cesarstwo rzymskie ze stolicą w Paryżu i Rzymie stając się postacią gigantycznych rozmiarów, wszyscy jego poddani i cała jego rodzina miała dla niego tylko słowa uwielbienia i wiernopoddańczości. Jedynie Letycja Ramolino, „Madame Mere", matka jego, mądra życiowo ale jakże mało światowa szlachcianka korsykańska, wtrącała słowa krytyki. Ona jedna zdobywała się i mogła się zdobyć na wyrażenie swego zdania w tym samym tonie, jakim zwracała się do małego Napolione. Właśnie wypadek Napoleona I. jest niejako klasyczny dla „kompleksu matki". Podczas gdy po ojcu Karolu Bonaparte, cesarz nie odziedziczył prawie że nic, poza żądzą sławy, po matce otrzymał cenne dziedzictwo: wytrwałość, pracowitość, upór wobec nieszczęścia i optymizm. Bez nich nie byłby „bogiem wojny", bez nich z porusznika w Brienne nie byłby został cesarzem. — Gdy Jan III po elekcji swej na króla, skreślał na życzenie papieskiego nuncjusza historję swej rodziny, z specjalnym naciskiem podkreślił, że pochodzi po Daniłłowiczach spadkobiercach Żółkiewskich, a chociaż i Sobiescy mieli duże zasługi wobec Ojczyzny, to jednak właśnie pochodzenie po kądzieli stanowiło dla Króla ten cenny spadek krwi bohaterów, jaki zamierzał podtrzymać i opromienić nowemi czynami.



„Ku pamięci i czci matek amerykańskich" — brzmi naddruk znaczka U. S. A.

Poniżej: Teofila z Daniłłowiczów Sobieska, matka króla Jana III.



Nie było również zbiegiem okoliczności, że Nie było również zbiegiem okoliczności, że Marja Kazimiera de la Grange d'Arquien, żona Jana III wywarła duży wpływ na swe dzieci, podczas gdy po ojcu oddziedziczyły one niestety tylko nieliczne cechy charakteru. Jak się okazało później, potomstwo Jana III przejęło się duchem międzynarodowym, zabrakło mu dodatnich cech polskich, a wpływ matki i czynniki francuskie były tak silne, że zagłuszyły zalety polskie. Przez matkę stali się oni obcymi własnej ojczyźnie i poczęli upatrywać punkt honoru nie w służeniu Polsce, lecz w koligacjach zagranicznych. Przez matkę więc Francuzkę usechł moralnie ten królewski pień, z którego mogły wyjść silne, zdrowe gałęzie. Na marne poszły wspaniałe tradycje Żółkiewskich, jak zresztą w wielu innych wypadkach spotkamy się również z niekorzystnym wpływem matki, o ile nie miała ona nic dobrego do przekazania.

Jakże wzruszająca jest pamięć o matce Adama Mickiewicza, który w „Panu Tadeuszu" wspomina swe dzieciństwo i cudowne ocalenie przed śmiercią! Jakże głęboko łączyła się pamięć jego matki z daleką Ojczyzną i jak bardzo ta matka stanowiła dla niego symbol wszystkiego drogiego! Podobne odnoszenie się do matki spotkamy u Juljusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego. To samo oddanie się matce znajdujemy u Jana Wolfganga Goethego, który swej matce Elżbiecie Textor, córce patrycjuszowskiej rodziny frankfurckiej, poświęca najwięcej miejsca w swych pamiętnikach „Dichtung und Wahrheit". Również wypadek ten zachodzi u Ottona Bismarcka, „żelaznego kanclerza", który właśnie po swej matce ze skromnej rodziny mieszczańskiejż Wilhelminie Menken, oddziedziczył cechy charakteru, które zeń uczyniły „zjednoczyciela" Niemiec.

Zwłaszcza, jeżeli wejdziemy w krąg polityki dynastycznej i poczniemy badać źródła różnych czynów o doniosłości historycznej, zobaczymy jak bardzo różni monarchowie stali pod wpływem swych matek, a jak stosunkowo mało zawdzięczali swym ojcom. Jedynym autorytetem dla Edwarda VII była jego matka Wiktorja, choć bezwątpienia stała umysłowo od niego niżej. Również Franciszek Józef I zasięgał zawsze porady swej matki arcyks. Zofji, która zresztą nieraz nadużywała swego wpływu zwłaszcza w stosunku do swej synowej ces. Elżbiety. Gdyby nie ambitna i bogata ks. Klementyna Orleańska, matka ks. Ferdynanda Sasko-Koburskiego, syn jej nie byłby został królem bułgarskim, tak jak obecnie cała akcja prohabsburska kierowana jest na korzyść Ottona przez jego matkę ekscesarzową Zytę. O ile arcyksiążę osiągnie tron austrjacki, będzie to naprawdę podarunkiem z ręki jego matki. Również i młodociany król Manoel portugalski znalazł w swej matce nietylko opiekunkę, ale właściwą królowę. Gdy w r. 1908 wykonano na rodzinę królewską atentat, wszystkie pisma ówczesne przyniosły rysunek świadków naocznych, przedstawiający królowę Amalję Orleańską, zasłaniającą swą osobę młodego ks. Manoela przed kulami zamachowców. Ten giest matki broniącej swego potomstwa jest charakterystyczny dla całego zagadnienia. A cóż dopiero powiedzieć o Alfonsie XIII, który w całem tego słowa znaczeniu wszystko zawdzięcza swej matce! W chwili śmierci jego ojca Alfonsa XII tron hiszpański był osierocony: nie było komu go zająć, naród zmęczony był panowaniem kobiet, babki i prababki króla, Izabelli i Krystyny. Niezadowolenie w ludzie rosło z dnia na dzień: gestem iście szarmanckim postanowił on jednak czekać do chwili, kiedy królowa Krystyna urodzi potomka, aby wtedy zadecydować o dalszych losach korony. Gdy strzały armatnie obwieściły narodziny króla, wątpiono w jego dalsze życie, tak słabym i chorowitym wydawał się nowy Bourbon. Opieka matki, jej walka o jego życie, tysiączne starania uczyniły zeń zdrowego i zdolnego do życia i panowania człowieka. Ale w tem miejscu niepodobna nie wspomnieć też tego złowróżbnego dziedzictwa, które kobiety wniosły nieraz do rodziny.

Gdyby odezwały się mury Eskurjalu i Aranjuezu, dziwne, pełne tragizmu obrazy stanęłyby nam przed oczami. Oto żeni się Filip arcyks. austrjacki, zwany „Felipe el Hermooso" z dziedziczką tronu Kastylji i Aragonu — Joanną, której historja nadała przydomek „Szalonej", a zaburzenia umysłowe stają się udziałem jej potomków.

Krew Battenbergów, morganatycznej linji książęcego domu heskiego, pochodzącej po ks. Aleksandrze i Polce, hr. Julji Hauke, wprowadza w dom Bourbonów przez żonę Alfonsa XIII królowę Enę, hemofilję, której działaniu ulega syn króla Alfons ks. Asturji, obecny hr. Cavadonga, oraz jego brat Don Jaime. To samo straszne dziedzictwo przekazała ta rodzina i Romanowym przez małżeństwo cara Mikołaja II z ks. Alicją heską. Jakie znaczenie w historji Rosji odegrała hemofilja następcy tronu Aleksieja i stąd pochodzący wpływ Rasputina na sprawy państwa, wiemy z licznych pamiętników.

Tak więc nici wielkich zdarzeń historycznych, zawiązanie lub rozplątanie wielu węzłów życia, wpływ na rozwój genjusza lub zanik zdrowego rozsądku, w większości wypadków trzyma w swej dłoni dobroczynna wróżka — lub personifikująca mimowoli złowrogi los — matka.

Jan Maleszewski.



Na prawo: Letycja Ramolino, małżonka Karola Bonapartego i matka Napoleona I.



Królowa Ena hiszpańska w stroju narodowym.



Fragment obrazu, przedstawiającego koronację Napoleona I.



Królowa Wiktorja angielska, wywarła olbrzymi wpływ na swój naród dzięki swym cnotom rodzinnym.



Katarzyna Elżbieta Textor, matka J. W. Goethego, zwana popularnie „panią radczynią"

KOŃ ARABSKI czy KOŃ PAROWY?



Na prawo: Obraz wielbłąda, objuczonego towarem, stanowi nieodłączny atrybut pustynnej Sahary.

Poniżej: Oto jeden z tych arabskich rumaków, które uchodzą za ideał wierzchowca.



Któż z Polaków na wspomnienie Arabji i Beduinów, śmigłych koni pustyni białych burnusów, nie przypomni sobie Emira Rzewuskiego, zwanego przez Arabów Tadż-El-Facher, oraz tych epizodów dawnego życia polskiego, które łączą się z szlachetną hodowlą koni? Jako naród zamiłowanych jeźdźców, Polacy dobrze znali to wszystko, co się odnosiło do konia arabskiego, obyczajów plemion koczowniczych i swoistej poezji pustyni.

I dzisiaj, kiedy po zmartwychwstaniu naszej państwowości, zorganizowaliśmy nasze jeździectwo i hodowlę, w dalszym ciągu zainteresowanie licznych amatorów konia biegną ku tej Arabji, która stała się jego synonimem.

Niestety kultura i postęp techniczny przeorały również faliste piaski pustynne i zmieniły wiele w dotychczasowym ich romantyźmie. Arabski koczowniczy Beduin, opierał swą egzystencję na 4 arkanach bytowania: na rabunku, na pracy i hodowli wielbłąda, konia oraz na wymuszaniu opłat po drogach, któremi ciągnęły karawany.

Niestety, koń, ów nierozłączny towarzysz arabskiego Beduina, hodowany przez niego pieczołowicie, pełnej krwi, o wspaniałej budowie i szlachetnej linji, jest na wymarciu. Karol Raswan, najlepszy znawca koni arabskich, naliczył w r. 1928 w całej Arabji 1351 koni, z czego rasy arabskiej 800 sztuk, a najczystszej rasy — zaledwie 14. Przyczyną tego jest nieracjonalna hodowla, coraz bardziej zniewieściałe życie Beduinów z braku wojen i bezkrytyczne krzyżowanie ras.

Dawniej celem wypraw rabunkowych t. zw. „ghazu", było zagarnięcie jak największej liczby wielbłądów, gdyż handel nimi był najpopłatniejszy. Najbardziej poszukiwana rasa „dablul", wielbłąda pościgowego, kurjera pustyni, otoczona była troskliwą opieką Araba. Nazwanie kogoś wielbłądem, nie jest obrazą, ale raczej zaszczytem. Potęga i znaczenie danego rodu arabskiego mierzy się jeszcze dziś, liczbą wielbłądów, które posiada: nawet królowie arabscy dobierali sobie często przydomek „wielbłąd".

Niestety i te wspaniałe okręty pustyni, dzielne rumaki w podjazdach rabunkowych i wojennych, coraz bardziej usuwają się w cień, a miejsce ich zajmują metalowe rumaki-samochody, osobowe i ciężarowe. Emiry, szejkowie i królowie arabscy, pieszczą dziś swą miękką dłonią smukłe linje Pacarda lub Mercedesa; kupują także omnibusy, kierując nimi tak sprężyście, jak dawniej rumakiem lub szybkonogim „dablulem".

Nawet wyprawy rabunkowe i wojny toczą się dzisiaj przy pomocy samochodów, a tylko pomocniczo na koniach i wielbłądach. Szejkowie zaopatrzyli się w całe parki automobilowe: lekkie czołgi znajdują również chętnych nabywców. Na nich bowiem szybciej można ścigać wroga, nie potrzeba wozić z karawaną żywności, a wreszcie metalowe samochody są bezpieczniejsze, niż eksponowana pozycja na koniu lub wielbłądzie.

Jakże zmieniony obraz przedstawia dzisiaj, wydeptany od kilku tysięcy lat, szlak karawanowy z syryjskiego Damaszku do stolicy Iraku i Bagdadu, długości 800 km wśród piasków pustynnych. Dawniej ciągnęły tędy karawany wielbłądzie przez 20 dni: dzisiaj przebywa się tę olbrzymią przestrzeń w 2 dniach w wygodnych samochodach i omnibusach, pod eskortą syryjskiej i irakskiej policji pustynnej, uzbrojonej od stóp do głów, oraz z gotowemi do strzału karabinami maszynowymi, na wspaniałych wozach angielskich i francuskich. Na stacjach wypoczynkowych, posiadających hotele i studnie, wypoczywa auto 1 godzinę a karawana wielbłądzia wypoczywała 1 dzień. Wielbłądy — o ironjo — roznoszą dziś na swoich garbatych grzbietach rozerwoary z benzyną do stacyj pompowych, a więc instrument, który powoduje coraz bardziej ich zbędność, skazuje ich na wymarcie. Czy w takich warunkach może dzisiejszy Beduin pozwolić sobie na napady celem wymuszenia opłaty drogowej, a raczej haraczu, bo żadna ustawa takiego myta nie przewiduje?

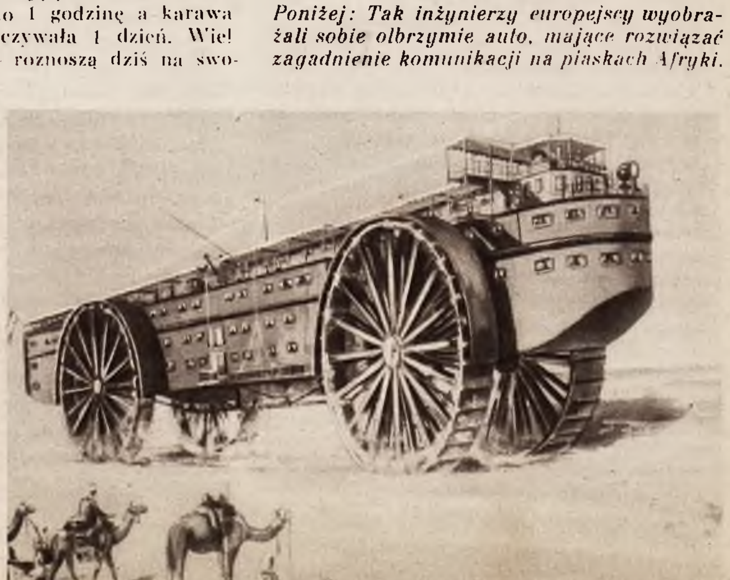
Koczownicze szczepy Beduinów muszą porzucić dotychczasowy system bytowania jeszcze z innych powodów gospodarczych. Francuskie władze kolonialne w Syrji, oraz król Iraku, Ibn Saud, starają się coraz więcej, aby ograniczać koczownictwo i zamieniać je na stałe osadnictwo. Co roku bowiem na całej tej ogromnej połaci lądu, przeciągają tysiączne zastępy w tę i ową stronę, koczowniczych ludów, od bujnych w zieloność źródeł Eufratu począwszy, aż do krańców pustyni Arabskiej, szukając dla siebie i swych trzód lepszego pożywienia i paszy. Władze francuskie nadzorują takie wędrujące masy koczowników przy pomocy samolotów i kierują je w okolice, obfitujące w pastwiska. Natomiast szejkowie i bogaci Arabowie nie mieszkają przeważnie wśród swoich poddanych, ale w pałacach i willach Damaszku, Aleppo i innych. Biedni poddani biednieją coraz więcej, wobec zbudowania tysiąc kilometrowych rurociągów naftowych, wobec karawan samochodowych, komunikacji samolotowej itd. Ani ludzie, ani konie i wielbłądy nie mają odpowiednich zarobków. Król Ibn Saud rozpoczął akcję kolonizacyjną, osadza szczepy koczownicze na roli i plantacjach. Ich czarne przenośne namioty wymienia na domki pokryte falistą blachą, a od biedy blachą z wyprostowanych baniek., benzynowych. Romantyczny Beduin, na siwoszu-arabie, lub na rączym wielbłądzie — schodzi powoli ze sceny światowej.

C.

Poniżej: Auto specjalnie dostosowane do piasków Sahary stało się groźnym konkurentem dla „okrętu pustyni" — wielbłąda.

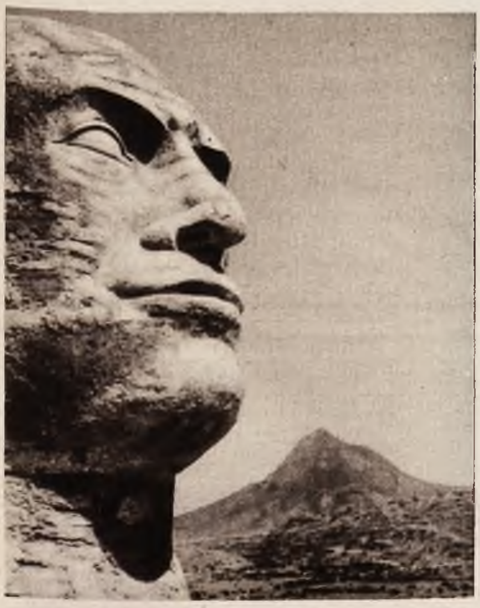
Poniżej: Tak inżynierzy europejscy wyobrażali sobie olbrzymie auto, mające rozwiązać zagadnienie komunikacji na piaskach Afryki.





CIEKAWE DROBIAZGI

POMNIK MUSSOLINIEGO W ABISYNJI



Żołnierze włoscy, znajdujący się na etapach za frontem, przystąpili w okolicy Adui do wykucia w olbrzymich skałach portretu Mussoliniego. Głowa dyktatora Włoch jest, jak widzimy na zdjęciu, pełna wyrazu, a oryginalna rzeźba stanowi ciekawy pomnik, który na długi czas będzie przypominał mieszkańcom tych okolic o obecnie toczącej się wojnie włosko-abisyńskiej. Przy wykuwaniu pomnika zajętych było wielu artystów, którzy znaleźli się w żołnierskim mundurze na froncie. Stworzenie w Abisynji pomnika Mussoliniego, stosunkowo niedaleko frontu, stanowi ciekawy przyczynek do emocjonalnej psychologji Włochów, którzy każdy wielki moment swej historji spontanicznie uwieczniają jakiemś dziełem sztuki. Wzniesienie pomnika ku pamięci bohaterrów włoskich sprzed 40 lat pod Aduą było również skutkiem tej psychologji żołnierzy-artystów.

STARY ŚLĄSK W ZAKOPANEM

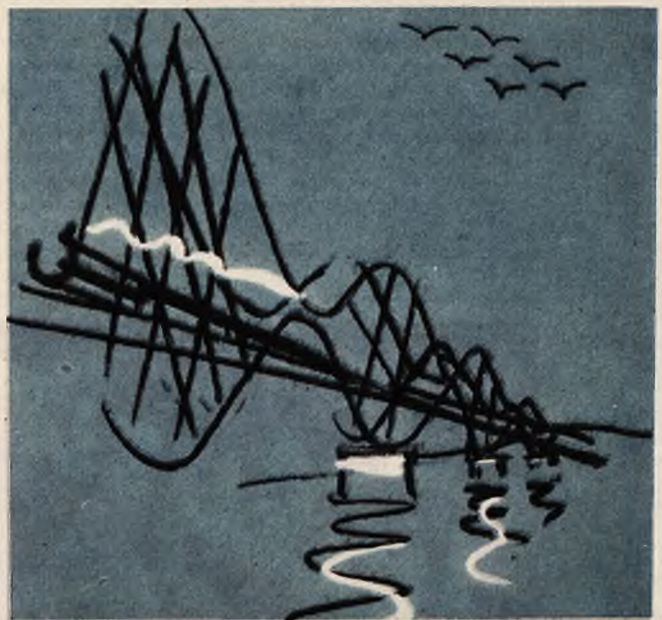


Jak wiadomo, prastary Śląsk posiada wiele ciekawych cech etnograficznych, a niektóre okolice po dziś dzień zachowały prastare stroje chłopskie i urządzenie wnętrza domu takie, jakiem ono było sto i więcej lat temu. Chcąc zapoznać również i inne okolice Polski z zabytkami śląskiemi i nawiązać bliższy kontakt z niemi, przybyła ostatnio do Zakopanego grupa Ślązaków ze wsi Dąbrówka Wielka, zachowującej do dziś dnia zarówno stare zwyczaje, jak też stroje śląskie. Grupa Ślązaków wystąpiła kilkakrotnie w sztuce regjonalnej p. t. „Wesele w Dąbrówce Wielkiej". Barwne stroje śląskie, nadwyraz ciekawe pieśni i tańce, a niemniej urządzenie sceny przywiezione przez grupę ze Śląska, zdobyły serca publiczności, stając się prawdziwie ciekawą i pouczającą równocześnie atrakcją. Wysoce ciekawe były tańce nigdzieindziej nie spotykane, jak trojak, drypka, obracany, młynarz itd. Należy podkreślić, że nie chodziło tutaj o imprezę dochodową, lecz w całem tego słowa znaczeniu propagandową i kulturalną. Oby więcej było takich zespołów, zaznajamiających szeroką publiczność z ciekawemi obyczajami innych dzielnic.

ZA RZEKĄ TWEED LEŻY SZKOCJA.

Kiedy wykupiłem bilet i zajmowałem miejsce w pociągu na Victoria Station w Londynie, byłem wzruszony. Jechałem do Szkocji. Na lokomotywie był napis: Flying Scotman. To latający Szkot, najszybszy pociąg w Europie, o którego laurach marzą stalowe smoki z kontynentu — Train Bleu, Latający Hamburczyk, Orient Express, Krasnaja Strieła. W parę godzin będę w Szkocji, kraju romantycznych bohaterów Walter Scotta i R. L. Stevensona.

Zawsze była Szkocja dla mnie czemś tajemniczem i groźnem. Jeszcze sto lat temu żeby zobaczyć Szkocję trzeba było być śmiałkiem nielada. Towarzystwo Dickensowskiego Pana Pickwika w romantycznym dyliżansie nie wynagradzało trudów podróży, trwającej całe dnie. Można było także puścić się żaglowcem wzdłuż wybrzeży Anglji, ale gniewne fale Północnego morza koło Dogger Bank niezgorzej trzęsły pudłem statku niż wyboje dróg hrabstwa Devonshire. A już kto miał bujną wyobraźnię, to przywoływał na pamięć jeżeli nie Robin Hooda, to innego rozbójnika, grasującego po drogach. Może gościnną oberżę, w której zatrzymalibyśmy się na noc, wynajmował równie zdradziecki Hooligan, jak ten, który ograbiał w nocy podróżnych, zdążających z Dover do Londynu (stąd powstała u nas nazwa chuliganów).



Jeden z największych mostów świata w zatoce Firth of Forth w Szkocji.



Na prawo: Oto jeden z najstarszych szkockich zamków, Douglas Castle siedziba Earl'a of Home.



Poniżej: Tambur-major pułku Lennoxa gwardji szkockiej z kozłem, maskotą pułku.

Jeszcze Rzymianie, podbiwszy Brytanję, odgrodzili się od Szkocji wałem, którego szczątki zachowały się do dzisiaj. Dzikie plemię Piktów, które gnieździło się w górach było zbyt groźnem dla rzymskich kohort. Potem solidarne klany Szkotów długo utrzymywały swą niepodległość. Bazaltowe strome brzegi morskie kryły tajemnicze desanty Jakobitów, podczas gdy smukłe fregaty lawirowały na horyzoncie.

W przedziale, w którym się ulokowałem siedział jegomość, mający chyba ze dwa metry wzrostu. Ogolone szczęki tonęły w fałdach kraciastego pledu. W długich końskich zębach tkwiła fajka. Spluwał celnie do spluwaczki w kącie wagonu. Ale inne charakterystyczne cechy sprawiły, że zainteresowanie moje współpasażerem zaczęło wzrastać. Tak, to był Szkot, oryginalny highlander. Mówił o tem wypchany pokrowiec walizki, waliza sama dla niezniszczenia jej pozostała... w domu. Mówiły o tem buty o trzy numery za ciasne, zato tańsze, nawet wraz z ceną plastra na nagniotki.

Pociąg stukotał kołami na spojeniach szyn. Zakopcone okręgi przemysłowe i zielone żywopłoty Anglji przewijały się w oknie wagonu.

Mój towarzysz wyglądał na mało przystępną osobistość. Moje uwagi czy drobne wagonowe uprzejmości przyjmował dosyć ozięble. Dopiero pod koniec podróży, kiedy zacząłem go kokietować ukazywaniem podeszwy u wytartego doszczętnie buta, oko jego błysnęło zainteresowaniem. Moja bujna broda, oszczędzająca mi tyle wydatków na mydło do golenia, wzbudziła w nim jawną sympatję, a kiedy wydobyłem oryginalną polską maszynkę do dzielenia zapałek na sześcioro, przysunął się do mnie i sam nawiązał rozmowę.

— Pan jedzie do Szkocji?

— Tak — odpowiedziałem żywo — mam zaszczyt pewnie jechać z jej autentycznym synem?

— Yes.

— Jakże się cieszę, że zanim wstąpię na ziemię pańskiej pięknej ojczyzny będę mógł dowiedzieć się paru szczegółów o tym kraju, mającym oset w herbie.

Zawiązała się rozmowa. W trakcie jej omal że nie zburzył całej mej ufności w swą autentyczną szkockość, bo sięgnął do kieszeni i o dziwo! poczęstował mię cygarem. Ale nieco później przedmiot mojego zainteresowania przeprosił mię na

chwilę, by przebiegającemu boyowi podyktować telegram do Dundee. Zdziwiła mię treść depeszy a boy także zwrócił uwagę na dziwny podpis. Brzmiał on tak: „Przyjeżdżamnatychmiastproszęoauto“

— Jestem indjaninem i to jest moje imię wodza — objaśniał Szkot niezmieszany, a kiedy później pytałem go o powód tego, powiedział mi poprostu, że oszczędził w ten sposób na opłacie za poszczególne słowa. Tak, to był prawdziwy Szkot!

— Szkoci dnia dzisiejszego — mówił mój towarzysz, jakgdyby nawiązując do poprzednich moich refleksyj — są ludźmi cywilizowanymi. Zachowali jednak dużo akcesorjów dawnej dzikości i oryginalności. Poczciwy, długonogi Szkot wdziewa przy okazji kraciasty „kilt“, to jest spódniczkę w „szkocką“ kratę, na głowę czapkę zdobną w pióra głuszca, na brzuchu zawiesza torbę borsuczą, a niech sobie wleje trochę narodowej whisky marki „Black and White“ albo „White Horse“ a z boku zabeczą najoryginalniejsze szkockie kobzy, puszcza się w tany, które tem są mniej wdzięczne, ile bardziej oryginalne. Inni Szkoci także już na glinianych nogach (w Szkocji, w niedzielne popołudnie nie spotka się od Aberdeen do Dundee i od Glasgow do Edynburga trzeźwego mężczyzny), asystują tym choreograficznym popisom albo imają się ćwiczeń fizycznych. Rzucanie młotem, żonglowanie ciężką belką to narodowe sporty highlandera. Cały szereg popularnych wśród Anglosasów sportów, jak n. p. golf, curling mają swój początek w Szkocji. Mało jest zakątków na świecie o pewnych tradycyjnych zwyczajach lokalnych, tak pilnie obserwowanych jak w Szkocji. W jednej miejscowości jest zwyczaj łowienia, przyprawiania i zjadania ryb na miejscu, w innej kowal ma prawo udzielania ślubów legalnych, inna znów, dajmy nato Loch Ness, ma wyłączne prawo do potwora morskiego. Każdy zamek ma swego upiora, który rywalizuje ze zjawami innych zwalisk oryginalną formą materjalizacji. Yes, Sir! Szkocja także zmieniła swój wygląd. Zaludniona, uprzemysłowiona. Zniknęły stada owiec, strzeżone przez pastuchów napółdzikich, okrytych pledami i „tartanami“. Po asfaltowanych autostradach przemykają autocary z turystami, zwiedzającymi stare zamki. Olbrzymi most na zatoce Firth of Forth odbija się we falach. Ale romantyzm kraju z powieściami Walter Scotta, z barwną tęczą pułku Gwardji Lennox przed pałacem Buckingham w Londynie, purytańską przysięgą składaną przez każdego króla Anglji na nietykalność kościoła szkockiego, tragiczną historją królowej Marji Stuart i Rizzia, przetrwały do dziś.

Cały szereg wielkich ludzi, mężów stanu, poetów, uczonych pochodzi ze Szkocji. Szkoci czy to dzięki temu, że są narodem górali czy spowodu długiej styczności z rasą celtycką, mają umysł przejmujący się ideami abstrakcyjnemi, pełen polotu. Świadczą o tem prace filozofów i uczonych Szkocji. Wielkie idealizmy filozofji europejskiej nie w Anglji, ale w Szkocji znalazły oddźwięk. Adam Ferguson, Dugalt Stewart, Sir James Mackintosh, Sir William Hamilton, profesor Edward Caird a zwłaszcza Tomasz Car-



Zamki szkockie znane są w całym świecie ze swej romantyczności i stanowią ulubiony temat powieściopisarzy.

lyle ze swym kultem bohaterów, w dziedzinie ekonomji Adam Smith. Idealizm przejawia się nawet w spekulacjach naukowych wielkich fizyków szkockich Thomsona, Lorda Kelvin i genjalnego J. C. Maxwella. Amerykański miljoner Andrew Carnegie, który ufundował olbrzymi Instytut dla propagandy pokoju, był rodem ze Szkocji. Robert Burns, William Dunbar byli wielkimi poetami Szkocji, podczas gdy Boswell jest wspaniałym biografem Johnsona. Twórcą pomnikowego dla Anglji Słownika Oxfordzkiego był Szkot, Sir James Murray.

Premjerami Anglji są Szkoci: Bonar Law, James Ramsay Macdonald a przywódca liberałów Asquith choć Anglik, go-

Poniżej: Narodowym instrumentem muzycznym jest kobza, na której grają szkoccy highlanderzy.



dnością akademicką i okręgiem wyborczym należy do Szkocji. Sir George Buchanan jest ostatnim ambasadorem Anglji w Rosji. Lord Balfour, polityk i twórca „British Academy“ jest Szkotem. Yes, Sir! Podhale szkockie, Scottish Lowlands wydało wielkich ludzi. Należy pochylić głowę przed bohaterskim kapitanem Scottem, ginącym w lodach Antarktydy po zdobyciu Bieguna Południowego.

— Mac Donald, Mac Intosh, Mac Dugal — ciągnął dalej Szkot, — no może jeszcze Mac Farlane to wszystko nazwiska, z jakiemi można spotkać się w Szkocji. Można tam jeszcze zetknąć się z dwoma Żydami, którzy nie mogą sobie zarobić na wyjazd ze Szkocji.

Mój współtowarzysz wyciągnął z kieszeni symbolicznego węża i spojrzał na niego ze smutkiem.

— Yes! Ile złego mówią o nas i o naszym zmyśle oszczędności! A przecież to jest bohaterstwo. Moi dwaj przyjaciele Joe i Sandy założyli się o pensa, który z nich dłużej pod wodą wytrzyma i... dotychczas żaden jeszcze nie wypłynął. Ja sam za-



Co roku odbywa się w Szkocji wielka impreza sportowa, obejmująca wszystkie gałęzie sportu, uprawiane przez Szkotów. Oto highlander, grający na kobzie podczas uroczystości.

ciąłem się dziś rano żiletką i za drobną opłatą gotów byłem służyć do transfuzji krwi, ale mi przez telefon powiedziano ze szpitala, że pewnie jestem Szkotem. A przecież Edinburgh zawsze słynął ze świetnej chirurgji i tam, a nie gdzieindziej istniało sto lat temu bractwo Rezurekcjonistów, którzy porywali w nocy ludzi, ażeby ich dostarczyć anatomom. A ten poczciwy Jimmie Mac Intosh z Mac Intoshów z Dundee, żeniąc się, uszczęśliwił całkiem brzydką dziewczynę, podczas gdy złośliwi twierdzą, że kierowały nim uboczne względy, bo jest zamiłowanym wędkarzem a ona ma podobno robaki. Ja sam w tym dniu mam zamiar kupić sobie podręcznik do nauki czytania systemem Brailowskim, jak niewidomi. Ile też w przyszłości oszczędzę wieczorami na świetle elektrycznem! No, przejeżdżamy Tweed! Good bye! A oddaj pan cygaro. Nie pierwszy je pan pali!

Zygmunt Haupt.

NAPOLEOŃSKI ŁUK TRIUMFALNY



Łuk Triumfalny w Paryżu stanowi wspaniałą „klamrę" Pól Elizejskich.

Paryski „Łuk Triumfalny" należy do pomników, chyba najbardziej znanych na całym świecie. Wysokości 50 metrów, szerokości 44 metry na 22 m., należy on nietylko do tych zabytków Paryża, które idzie się obejrzeć zaraz po przyjeździe, lecz ogląda się go mimowoli, napotyka na swej drodze, posługuje nim jako punktem orjentacyjnym. Dziś, iluminowany wspaniale, z monarszą wzniosłością góruje nad całą dzielnicą Paryża, odbijając wypukłościami swych płaskorzeźb od czerni nocy i otaczających ulic, schodzących się tu dośrodkowo. Nie bez powodu Łuk Triumfalny znajduje się pośrodku Placu de l'Étoile, Placu Gwiazdy.

Turysta polski nie bez rzewności spogląda na potężne mury Łuku, pokryte czterystoma nazwiskami generałów cesarstwa i dwustoma nazwami miejscowości bitew: nie brak tu nazwisk i nazw polskich. Znajdujemy bez trudu: Poniatowski, Ostrołęka, Pułtusk, Gdańsk, a dalej: Smoleńsk, Połock itd.

Rzadko jednak kiedy przechodzień czy turysta postawi sobie pytanie, jak też długo budowla ta strzela dumnie ku niebu Paryża? Upływa właśnie sto lat od chwili dokończenia tej ogromnej pracy, a dokładnie 130 lat w dniu 18 lutego b. r., od dnia poczęcia projektu.

Zanotujmy, że Pola Elizejskie, ta wspaniała dziś ulica, iskrząca się luksusem swych wystaw i łącząca Plac Zgody i Plac de l'Étoile, nakreślona została przez Ludwika XIV-go, w roku 1670. Ale do końca wieku XVIII-go mało kto z Paryżan zapuszczał się w tę niepewną dzielnicę, zwłaszcza wieczorem. W okolicy Placu Zgody zatrzymywały się niekiedy wozy jarmarczne, a nawet rewje wojskowe nie odbywały się w tych stronach, nie korzystały z rozpiętości tej nowej artelrji przyszłego Paryża.



Grób Nieznanego Żołnierza w Paryżu znajduje się pod Łukiem Triumfalnym.

Dopiero Napoleon, po zwycięstwie pod Austerlitz, powziął projekt zbudowania w Paryżu wielkiego pomnika na cześć swych zwycięskich armij. Napoleon wybrał wejście na Bulwary. Jego minister spraw wewnętrznych, Champagny, z pomocą architekta Fontaine, zaproponowali tym razem wyzyskanie Placu Étoile. Przekonywali oni cesarza:

— Budując wielki Łuk na Placu de l'Étoile, uzupełni się niejako perspektywę parku Tuileries. Oba Łuki znajdują się na tej samej osi. Cesarz, jadąc z pałacu Tuileries do pałacu w Malmaison, w Saint-Germain, w Saint-Cloud, czy w Wersalu, będzie mógł właśnie przejeżdżać pod tym Łukiem, przebywszy uprzednio całe Pola Elizejskie.

Napoleon dał się przekonać. Już 15 sierpnia tegoż roku położono pierwszy kamień. Lecz nie danem było cesarzowi przejeżdżać tędy za życia. Roboty posuwały się powoli naprzód, tak, że w chwili upadku cesarstwa, zaledwie 15 metrów murów wzniosło się ponad ziemię... Dopiero Ludwik XVIII podjął inicjatywę swego wielkiego poprzednika. Budowa postępowała niemniej naprzód, choć parlament szemrał. Niechętnie przyznał żądane fundusze w kwocie pięciu miljonów franków w ciągu dziesięciu lat. Głosujący wyrażali się krytycznie o budowie:

— Bezcelowo nagromadzono na tym placu tak wielkie mnóstwo kamieni. Ale teraz już zapóźno. Trzeba doprowadzić do końca budowę tej bezużytecznej piramidy...

Lecz i Ludwik XVIII nie zdołał dokończyć dzieła. Jego następca, Karol X zaniedbał prac. Dopiero Ludwik Filip zajął się Łukiem, którego budowy dokończono w 1836 roku. Trwała więc ona 30 lat, kosztem przeszło 10 miljonów franków. Najwybitniejsi rzeźbiarze ozdobili górną część gmachu. Rude wyrzeźbił „Odjazd", zwany też „Marsyljanką"; Cortot — „Triumf Napoleona", „1810 rok", Etex: „Pokój" i „Opór", Pradier cztery rzeźby kątowe, Lemercier: „Pogrzeb gen. Marceau", Seure: „Murat w bitwie pód Abukir" i t. d.

Na szczyt Łuku prowadzi 272 stopni schodów, ukrytych w murze. Dziś istnieją też windy. Sto lat temu nie było elektryczności na usługach człowieka, to też w dniu inauguracji Plac oświetlony był lampkami gazowemi, zaś Pola Elizejskie lampionami różnokolorowemi. Gazety epoki zapewniają, że widowisko było wspaniałe, choć deszcz szybko zgasił tę pierwotną iluminację...

Napoleon za życia nie doczekał się zaszczytu przejechania pod Łukiem,, lecz jego zwłoki, przywiezione w 1840 roku, tu zostały złożone ze czcią i stąd wyruszył kondukt pogrzebowy do Pałacu Inwalidów.

Opowiadają, że gdy w r. 1871 Niemcy wkroczyli do Paryża, nie śmieli przedefilować pod Łukiem... Taktownie otoczyli go wokół, składając niemy hołd zwycięskim armjom Napoleona...

Victor Hugo, wielki poeta i piewca Łuku Triumfalnego, dostąpił również zaszczytu, że zwłoki jego zostały tu wystawione w 1885 r.

Potem przyszła Wielka Wojna, pozostawiająca pod Łukiem, pośrodku, tablicę pamiątkową na cześć Nieznanego Żołnierza, z wiecznie gorejącym płomieniem...

Dziś odbywają się tu defilady wojskowe, ceremonje narodowe, uroczystości świąteczne czy pogrzebowe.

W czarną noc cicho kołują samochody, otaczając Łuk wielkim kręgiem. A wysoko w niebo strzelają oślepiające białem światłem figury płasokrzeźb, wybiegające ku nam z nocnego tła i trwające w zwycięskim marszu...

Zygmunt Frenkiel (Paryż)

H. G. WELLS



ĆMA
nowela

CHARLIE

TŁUM. WANDA SKÓRCZYŃSKA

Słyszeliście zapewne o Hapleyu — nie o W. T. Hapleyu, synu, lecz o sławnym Hapleyu, o Hapleyu odkrywcy Periplaneta Hapliia, o Hapleyu entomologu.

Jeśli tak, wiecie przynajmniej o głośnym sporze między Hapleyem i profesorem Pawkinsem, chociaż pewne następstwa tego sporu mogą być dla was nowością. Dla tych, którzy o nim nie słyszeli, koniecznem jest kilka słów wyjaśnienia, które leniwy czytelnik, jeśli chce, może pominąć.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak mało szerokie sfery interesują się tak ważnemi sprawami, jak ów spór między Hapleyem i Pawkinsem. Te epokowe dysputy, które poruszyły do głębi Towarzystwo Geologiczne, są, jak o tem jestem przekonany, prawie zupełnie nieznane poza obrębem członków Towarzystwa. A jednak spór Hapleya i Pawkinsa, chociaż być może natury osobistej, wzbudził iście żywiołowe namiętności. Wy, ludzie przeciętni, nie macie pojęcia o zapale, jaki ożywia naukowych badaczy, o gniewnym uporze, jaki można w nich wzbudzić. Jest to odium theologicum w nowej formie. Są naprzykład ludzie, którzy spaliliby sir Raya Lankastra ze Smithfieldu za jego szkic o mięczakach w Encyklopedji...

Ale zapominam o Hapleyu i Pawkinsie. Zaczęło się to przed wielu laty krytyką Pawkinsa, odnoszącą się do Microlepidoptera (co to być może?), która starła w proch nowy gatunek, stworzony przez Hapleya. Hapley, który miał zawsze usposobienie kłótliwe, odpowiedział zjadliwym atakiem na cały sposób ujęcia sprawy przez Pawkinsa. Pawkins w swoim „Przyczynku“ wyraził przypuszczenie, że mikroskop Hapleya równie, jak jego zmysł obserwacyjny, nie stoją na wysokości zadania i nazwał go „nieodpowiedzialnym pismakiem“ — Hapley nie był w tym czasie jeszcze profesorem. Hapley w swojej odpowiedzi wspominał o „głupkowatych zbieraczach“ i wyraził się o artykule Pawkinsa, jako o „szczycie nieudolności“. Była to walka na noże. Szczegóły sporu tych dwóch wielkich mężów byłyby zapewne dla czytelnika mało interesujące, jakkolwiek wojna, rozpoczęta o Microlepidoptera przeniosła się i na inne tereny entomologji. Były to dni pamiętne. Niekiedy posiedzenia Królewskiego Towarzystwa entomologicznego przypominały Izbę Posłów. Naogół, zdaje mi się, że Pawkins był bliższym prawdy, niż Hapley. Ale Hapley był dobrym mówcą, miał, jak na człowieka nauki, wybitny dar satyryczny, odznaczał się niespożytą energją i miał poczucie krzywdy, odnośnie do wykreślonego z entomologji przez jego rywala gatunku. Pawkins był natomiast człowiekiem niepozornym, nieumiejącym się wyjęzyczyć, a z wyglądu przypominał beczkę na wodę. Nic więc dziwnego, że młodzi ludzie garnęli się do Hapleya. Był to długi spór, od samego początku bardzo zjadliwy, który wkońcu przybrał formę bezlitosnej walki. Kolejne zmiany szczęścia, uśmiechy fortuny, przeznaczone to jednej to drugiej stronie, gdyż sukcesy Pawkinsa przyprawiały Hapleya o niewysłowione męki, równie jak i odwrotnie, należą raczej do historji entomologji.

Ale w 1891 roku Pawkins, który od pewnego czasu szwankował na zdrowiu, ogłosił jakąś pracę o „mesoblascie“ Trupiej Główki. Co to jest mesoblast Trupiej Główki, to nas mało obchodzi. Ale praca była znacznie słabszą, niż inne jego prace i dała Hapleyowi sposobność, na którą czekał od lat. Musiał pracować w dzień i w nocy, aby ją jak najlepiej wykorzystać.

W doskonale napisanej krytyce zmieszał Pawkinsa z błotem — wyobraźcie sobie czarną czupryne Hapleya i jego przenikliwe ciemne oczy, ciskające błyskawice na przeciwnika — a Pawkins odpowiedział w słowach złośliwych, przerywanych przykremi pauzami, które nie zrobiły jednak większego wrażenia. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że chciał zranić Hapleya, ale nie mógł. Ale niewielu tylko z pomiędzy tych, którzy go słyszeli — ja sam nie byłem na tem zebraniu — zdawało sobie sprawę, jak chory był ten człowiek.

Hapley powalił swego przeciwnika i postanowił z nim skończyć. Zaatakował Pawkinsa w sposób brutalny w pracy, odnoszącej się do rozwoju ciem wogóle, pracy, przygotowanej z wielkim nakładem sił i napisanej w tonie bardzo gwałtownym. Jakkolwiek wydawca postarał się o złagodzenie jej gwałtownego charakteru, musiała jednak okryć Pawkinsa wstydem. Poprostu przyparła do do muru; argumenty autora były mordercze i pełne głębokiej pogardy; rzecz straszna dla uczonego u schyłku jego karjery.

Świat entomologów oczekiwał z zapartym oddechem na odpowiedź Pawkinsa. Wiedziano, że odpowiedź ta przyjdzie, gdyż Pawkins był zawsze dobrym graczem. Ale kiedy przyszła, była dla wszystkich niespodzianką. Albowiem Pawkins zachorował na influenzę, dostał zapalenia płuc i umarł.

Była to zapewne w tych okolicznościach odpowiedź najskuteczniejsza, gdyż opinja szerokich sfer zwróciła się przeciw Hapleyowi. Ci sami ludzie, którzy z uśmiechem przyglądali się walce tych gladjatorów, nagle spoważnieli. Nie ulegało wątpliwości, że ostatnia klęska przyczyniła się w znacznej mierze do śmierci Pawkinsa. Nawet naukowe dysputy mają swoje granice, mówiono w sferach miarodajnych. Drugi, druzgocący artykuł był już pod prasą i ukazał się w dniu poprzedzającym pogrzeb. Nie sądzę, aby Hapley starał się wycofać go. Ludzie przypomnieli sobie, jak Hapley zwalczał swego przeciwnika i zapomnieli nagle o wadach tego przeciwnika. Złośliwe uwagi pod adresem nieboszczyka są źle widziane. Sprawa odbiła się głośnem echem w prasie i zwróciła uwagę szerokiej publiczności na Hapleya i jego spór. Sądzę, że sam Hapley nie mógł wybaczyć Pawkinsowi jego śmierci. — Po pierwsze dlatego, że uchroniła go ona od zupełnej klęski, a po drugie dlatego, że Hapley stracił nagle cel w życiu. Od dwudziestu lat pracował bez odpoczynku, często do późnej nocy, przez siedem dni w tygodniu, z mikroskopem, skalpelem, siatką na owady i piórem i zawsze prawie w związku z Pawkinsem. Europejska sława, jaką sobie zyskał, przyszła przypadkowo w czasie tej wielkiej walki. Wznosił się stopniowo do szczytu, którym był ostatni jego atak. Zabił on Pawkinsa, ale zarazem zawiesił Hapleya, jakby w próżni. Jego lekarz radził, aby na pewien czas przestał pracować i wypoczął. Hapley udał się zatem na wieś do Kentu i myślał we dnie i w nocy o Pawkinsie i o tem wszystkiem, czego już teraz nie można było powiedzieć o jego przeciwniku. Wkońcu Hapley zaczął sobie zdawać sprawę, że uwaga jego zaprzątnięta jest za bardzo jednym przedmiotem. Aby uniknąć tego, zabrał się do czytania powieści. Ale nie mógł zapomnieć o Pawkinsie, jak zupełnie blady, wygłaszał swoje ostatnie przemówienie, którego każde zdanie stanowiło znakomity punkt zaczepienia dla Hapleya. Zwrócił się do powieści, ale to nie pomogło. Wobec tego zaczął zajmować się grą w szachy i to wywarło na niego wpływ korzystny. Wkrótce opanował ważniejsze ruchy, główne gambity i posunięcia końcowe tak, że zaczął bić wikarego. Ale w pewnej chwili kontury króla przeciwnika zaczęły upodabniać się do Pawkinsa, który bezskutecznie starał uchronić się przed matem i Hapley postanowił przestać grać w szachy. Uważając, że najlepszym wypoczynkiem jest zmiana zajęcia, postanowił zająć się wymoczkami i w tym celu kazał sobie przysłać z Londynu jeden z mniejszych mikroskopów wraz z monografją Halibuta. Myślał, że uda mu się może rozpocząć jakiś poważny spór z Halibutem, rozpocząć życie na nowo i zapomnieć o Pawkinsie. I wkrótce zaczął pracować bez chwili odpoczynku.

Było to trzeciego dnia nowego zajęcia, kiedy Hapley uczynił ciekawe odkrycie. Pracował do późnej nocy przy mikroskopie i jedynem światłem w pokoju była jasna mała lampa z zieloną pokrywą. Jak każdy, umiejący obchodzić się z mikroskopem, miał oba oczy otwarte. To nie męczy. Jedno oko znajdowało się ponad przyrządem i śledziło wyraźnie przesuwający się przez pole widzenia brunatny cień. Drugiem okiem Hapley patrzał, jak to bywa, nie widząc. Rozróżniał tylko kontury mosiężnej podstawy mikroskopu, ćwiartki papieru, części oświetlone kapy, lampy i tonącego w cieniu pokoju poza nią.

Nagle uwaga jego przesunęła się z jednego oka na drugie... Pokrywająca stół kapa zrobiona była z taniego materjału w jaskrawych kolorach. Na złotawem tle zaznaczyły się szkarłatne i niebieskie smugi i plamy. W jednem miejscu rysunek wydawał się jakby zatarty, widać było natomiast coś poruszającego się.

Hapley nagle odwrócił głowę i spojrzał oboma oczyma. Otworzył usta ze zdumienia.

Była to wielka ćma lub motyl; skrzydła otwierały się na sposób motyla.

Obecność ćmy w pokoju była wogóle rze-

czą dziwną, gdyż okna były zamknięte. Równie dziwnem było, iż nie zwróciła ona dotąd jego uwagi ani w przelocie, ani w chwili kiedy usiadła na kanapie. Ale co było dla Hapleya, wielkiego entomologa rzeczą najciekawszą, to to, że należała do zupełnie nieznanego gatunku. Co do tego nie było wątpliwości. Pełzała zwolna w stronę lampy.

Wielkie nieba! Nowy gatunek! I to w Anglji! — rzekł Hapley, nie mogąc od niej oderwać oczu.

Potem nagle przyszedł mu na myśl Pawkins. To doprowadziłoby Pawkinsa do szaleństwa... ale Pawkins nie żył.

Coś na głowie i tułowiu owada przywodziło mu na myśl Pawkinsa, podobnie jak przedtem król szachowy.

— Niech djabli wezmą Pawkinsa! — rzekł Hapley. — Ale muszę ją złapać. — I wstał zwolna z krzesła, rozglądając się za jakimś przedmiotem, przy pomocy którego mógłby ćmę złapać. Nagle owad wzleciał i znalazłszy się poza obrębem światła lampy, zniknął w cieniu.

W jednej chwili Hapley podniósł pokrywę lampy i oświetlił cały pokój. Ćma zniknęła, ale jego wprawne oko odkryło ją wrótce na tapecie koło drzwi.. Ruszył ku niej z umbrą w ręku, aby ją złapać. Zanim jednak zdołał podejść bliżej, wzleciała i zaczęła krążyć po pokoju. Latała, wykonując jak zwykle ćmy, nagłe zwroty, niknąc w jednem miejscu i pojawiając się w drugiem. Raz Hapley zamierzył się i nie trafił; potem jeszcze raz.

Za trzecim razem zawadził o mikroskop. Przyrząd nachylił się, spadł na lampę i przewrócił ją, a potem runął z trzaskiem na podłogę. Lampa na szczęście zgasła. Hapley znalazł się w ciemnościach. Wzdrygnął się, gdyż uczuł, że skrzydła dziwnej ćmy musnęły go po twarzy.

Można było oszaleć. Nie miał światła. Gdyby otworzył drzwi, owad mógłby uciec. W ciemnościach ujrzał wyraźnie Pawkinsa, który śmiał się z niego. Pawkins miał zawsze uśmiech bardzo brzydki. Hapley zaklął i tupnął nogą. Dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi. Potem drzwi otworzyły się zwolna, może na stopę. Poza jasnym płomieniem świecy ukazała się niespokojna twarz gospodyni; na siwej głowie miała czepek, a na ramiona zarzuciła jakąś czerwoną chustkę.

— Co to za hałas? — zapytała. — Czy coś....

Tajemnicza ćma pojawiła się koło drzwi. Zamknij pani drzwi — krzyknął Hapley.

Drzwi zatrzaśnięto. Hapley został sam w ciemnościach. Potem, w przerwie, usłyszał, że gospodyni wróciła na górę, zamknęła drzwi i zatarasowała je jakimś ciężkim przedmiotem.

Hapley zrozumiał, że zachowanie się jego i wygląd wzbudziły w niej niepokój. Przeklęta ćma! I Pawkins! Ale szkoda było wypuszczać teraz owada. Wyszedł do sieni, znalazł zapałki, zaświecił świecę i wrócił do mieszkania, gubiąc po drodze kapelusz. Ćmy nie było widać. Raz zdawało mu się, że lata koło jego głowy. Hapley postanowił nagle zaprzestać gonitwy za ćmą i położyć się do łóżka. Ale był za bardzo podniecony. Przez całą noc śniła mu się ćma, Pawkins i gospodyni. Dwa razy w nocy wstawał i chłodził głowę zimną wodą.

Jedno było jasne. Gospodyni jego nie mogłaby zrozumieć, o jaką to ćmę chodziło, tem bardziej, że jej nie złapał. Tylko entomolog mógłby pojąć, jak się czuł. Zachowanie się jego przestraszyło ją. nie wiedział jednak, w jaki sposób wytłumaczyć się. Ostatecznie postanowił nie wspominać o zajściach ubiegłej nocy. Ujrzawszy ją w ogrodzie po śniadaniu, zdecydował się wyjść i pomówić z nią. Zaczęli rozmawiać o grochu i ziemniakach, pszczołach, gąsienicach i cenach owoców. Odpowiadała, jak zwykle ale przyglądała mu się podejrzliwie i stąpała w ten sposób, że dzielił go zawsze od niej albo kląb kwiatów, albo grządka grochu, albo coś w tym rodzaju. Po pewnym czasie zaczęło go to drażnić i, aby ukryć podniecenie, wrócił do swego pokoiku, a potem wybrał się na spacer.

Ćma lub motyl, przypominający mu dziwnie Pawkinsa wybrał się również na spacer, chociaż Hapley starał się nie zwracać na nią uwagi. Raz ujrzał ją zupełnie wyraźnie z rozpostartemi skrzydłami na starym murze kamiennym, otaczającym park od zachodu, ale podszedłszy bliżej przekonał się, że były to tylko dwie kępki szarego i żółtego mchu.

— Oto prawo mimikry naodwrót — rzekł Hapley. — Zamiast, żeby motyl upodabniał się do kamienia, kamień upodabnia się do motyla. Raz przeleciało coś koło jego głowy, ale zdobył się na wysiłek i zwrócił uwagę na coś innego.

Popołudniu Hapley odwiedził wikarego i rozpoczął z nim dysputę w sprawach teologicznych. Siedzieli w małej altanie i palili papierosy.

— Proszę popatrzeć na tę ćmę! — rzekł nagle Hapley, wskazując na brzeg drewnianego stołu.

— Gdzie? — rzekł wikary.

— Czy ksiądz nie widzi ćmy tam na brzegu stołu? — zapytał Hapley.

— Nie — rzekł wikary.

Hapley był, jakby piorunem rażony. Odetchnął głęboko. Wikary przyglądał mu się. Było widoczne, że nie widział żadnej ćmy.

— Oko wiary równie źle widzi, jak oko wiedzy — rzekł Hawley z roztargnieniem.

— Nie rozumiem — rzekł wikary.

Tej nocy Hapley ujrzał ćmę na umywalni. Usiadł na łóżku i próbował zebrać myśli. Czy to była halucynacja? Wiedział, że traci grunt pod nogami i walczył o swoje zdrowie z tą samą cichą energją, która cechowała go w walce z Pawkinsem. Ale doznawał dziwnego wrażenia, że wciąż jeszcze walczy z Pawkinsem. Psychologja nie była mu obcą. Wiedział, że takie złudzenia optyczne są następstwem przepracowania. Dziwiło go jednakże nietylko to, że widział ćmę, ale słyszał, kiedy uderzyła o brzeg umbry, a potem o ścianę i czuł na twarzy dotknięcie jej skrzydeł w ciemnościach.

Przyglądnął się jej. Nie było to senne marzenie; widniała w świetle świecy zupełnie wyraźnie. Widział włochaty tułów i krótkie, pierzaste czółki, członkowane nogi, a nawet miejsce, gdzie starty był pyłek ze skrzydła. I nagle wpadł w gniew, że boi się małego owada.

Jego gospodyni zaprosiła sobie na noc służącą, ponieważ bała się spać sama. Zamknęła drzwi na klucz i zabarykadowała je komodą. Nadsłuchiwały i mówiły szeptem, leżąc w łóżku, ale w całym domu panował spokój. Około jedenastej zgasiły świecę i zaczęły drzemać. I nagle obudziły się i usiadły w łóżku, nadsłuchując w ciemnościach.

Potem usłyszały człapanie pantofli w pokoju Hapleya. Krzesło przewróciło się, a potem dało się słyszeć silne uderzenie w ścianę. Potem, nagle drzwi od pokoju otwarły się i usłyszały kroki jego na schodach. Przytuliły się do siebie. Wydawało im się, że tańczy. To wstępował szybko po stopniach, to schodził nadół, to rozbijał się znowu w przedsionku. Potem usłyszały brzęk tłuczonej umbry i światło zgasło. A potem dał się słyszeć zgrzyt odsuwanego rygla. Otwierał bramę.

Podeszły do okna. Była szara noc; nieprzerwany całun dżdżystych chmur zakrywał księżyc, a na bladem tle gościńca zaznaczały się ciemne kontury płotu i drzew, stojących przed domem. Ujrzawszy Hapleya, który uganiał w bieliźnie po gościńcu, wymachując rękami. Przystawał, potem rzucał się nagle na coś niewidzialnego, a potem znów gonił za czemś szybkiemi krokami. Wkońcu zniknął im z oczu na drodze, wiodącej na wydmy. Zaczęły zastanawiać się, która z nich ma zejść nadół i zamknąć bramę, ale w tej chwili wrócił. Szedł szybko, prosto do domu, zamknął ostrożnie bramę i udał się do swej sypialni. Potem zapanował spokój.

— Pani Colville — rzekł Hapley, schodząc nazajutrz rano po schodach. — Sądzę, że nie przestraszyłem panią ubiegłej nocy.

(Dokończenie na str. 22-ej).



— Zamknij pani drzwi! — krzyknął Hapley.

ODPOCZYNEK PO TAŃCU...
Fot. Willinger, Wiedeń.



KORSARZE
morskich głębin



Poszczególne fazy walki rekina z ośmiornicą przedstawiają się nadwyraz dramatycznie.

Życie w morzu ukryte jest naogół przed ciekawem spojrzeniem człowieka. Rybacy tylko, marynarze i nurkowie mogą nieco więcej powiedzieć o tem, co dzieje się w rozległych przestrzeniach podmorskich. Podobnie, jak na powierzchni lądu, jedne obszary morskie tętnią bujnem życiem, inne są mało zamieszkałemi pustyniami. I tu panuje walka o byt, w której zwyciężają silniejsi i bardziej przystosowani do warunków życia. Nieraz odbywa się zażarta walka na śmierć i życie, niekiedy znowu słabszy, tylko w ucieczce próbuje znaleźć ocalenie przed groźniejszym przeciwnikiem i prześladowcą.

Prócz ryb, które stanowią najliczniejszą grupę zwierząt żyjących w morzu, nie brak i innych mieszkańców, zwłaszcza o niższej budowie. Do niezmiernie ciekawych należą głowonogi o dziwacznej postaci, których nazwa pochodzi od ramion, znajdujących się na głowie, a służących do pełzania i chwytania zdobyczy.

Najpospolitszym przedstawicielem tej grupy zwierząt jest ośmiornica. Posiada ona ośm ramion zakończonych przyssawkami, które jej służą do chwytania i przytrzymywania zdobyczy, jak i do posuwania się po piaszczystem dnie morza, czy kładkich skałach podmorskich. W morzu poruszać się może ośmiornica, wciągając wodę do t. zw syfonu, tj. skórnego lejka, połączonego z jamą skrzelową. Kierunek ruchu zależny jest od tego, w którą stronę zwrócony jest otwór, przez który zwierzę wciąga wodę: zwierzę może przesuwać się w dowolnym kierunku, lecz zawsze porusza się tyłem.

Przypatrzmy się jej życiu. Oto leży nieruchoma, niewiele odcinając się barwą swego ciała od podłoża. Jedynie wielkie bystre oczy zdają się przenikać warstwy wody, wypatrując zdobyczy. Oto zbliża się niebacznie wielki jakiś krab podmorski. Ufny w siłę swych szczęk i gruby pancerz posuwa się on powoli, jak gdyby nie troszcząc się o otoczenie. Ośmiornica żadnym ruchem nie zdradza, że zbliżające się zwierzę jest przedmiotem jej żywego zainteresowania. Leży dalej spokojnie, a jedynie przenikliwy wzrok wydaje się hypnotyzować nie przeczuwające niebezpieczeństwa zwierzę. Lecz oto niespodziewanie jedno z ramion szybkim ruchem próbuje otoczyć ciało kraba, drugie chwyta szczypce, inne otaczają resztę odnóży. Krab szybkiemi ruchami swych potężnych szczęk próbuje uwolnić się od niespodziewanego napastnika. Niewiele jednak mogą zdziałać jego szczęki i szczypce w walce z miękkiemi i jakgdyby mnożącemi się ramionami. Ciało jego zaczyna nieruchomieć w groźnych splotach wężowych ramion. Oto zbliża się otwór gębowy ośmiornicy, zakończony jak gdyby rogowym dziobem, a równocześnie w otwory skrzelowe wstrzykuje mu wieloramienny prześladowca ciecz trującą, od której napadnięte zwierzę w krótkim czasie ginie. Po spożyciu zdobyczy znowu czeka groźny rabuś podmorski na nową ofiarę, która nieostrożnie zbliży się ku jego ramionom.



Oto groźna ośmiornica rzuca się na małego kraba, chcąc go zgnieść swojemi potężnemi mackami.

Długość ramion ośmiornicy wynosi od kilkudziesięciu centymetrów do półtora i dwóch metrów, i wtedy zwierzęta te mogą stanowić duże niebezpieczeństwo i dla ludzi. Już starożytni znali niebezpiecznych mieszkańców wód morza Śródziemnego i opisywali porywanie ludzi, którzy tonęli wciągani w głębinę morską.

Na Antylach i północno-zachodniem wybrzeżu Ameryki, a także w morzach chińskich żyją wielkie ośmiornice, które nieraz mogą być bardzo niebezpieczne dla uzbrojonego nawet człowieka; należy przytem pamiętać, że strzał ze strzelby czy rewolweru nie czyni ośmiornicy żadnej krzywdy.

Znany reżyser filmowy i łowca zwierząt Józef Delmont opisuje w swych wspomnieniach ciekawą przygodę z ośmiornicami, którą uważa za jedną z najgroźnejszych, jakie przeżył w swem tak barwnem i ruchliwem



Dziesięcioramienny głowonóg „loligo" chwyta swemi szczypcami rybę.

życiu, pełnem egzotycznych podróży i przygód. Pragnął on sfilmować walkę z ośmiornicami. W tym celu wybrał się do zatoki meksykańskiej w pobliżu Santiago de Cuba. Do samej walki zaangażował wytrawnych nurków murzynów, odznaczających się olbrzymim wzrostem i wyrobionemi muskułami. Kilku zdecydowanych na wszystko ludzi, uzbrojonych w noże i siekiery stanowiło pomoc dla reżysera filmowego.

Murzyni, którzy mieli walczyć z ośmiornicami, nasmarowali swe ciało śmierdzącą maścią, która miała ich uchronić przed zbytnią agresywnością niebezpiecznych głowonogów. Jeden z nich znajdował się w wodzie, gdy na powierzchni ukazał się potwór o dwumetrowych ramionach. Natychmiast wciągnięto murzyna do łódki, lecz mimo to głowonóg zdążył owinąć ramię dokoła nogi odważnego murzyna, usiłując wciągnąć go w głębinę. Przenikliwa woń smarowidła ocaliła murzyna od dalszych ataków ośmiornicy, która wypuściła ofiarę. Zaatakowała jednak łódkę, w której siedziało pięciu ludzi. Z błyskawiczną szybkością przywarł niebezpieczny głowonóg dwoma ramionami do burt, pozostałemi rzucił się na uzbrojonych ludzi. Dwaj z nich zostali momentalnie schwytani



Powyżej: Kałamarnica posiada nadwyraz dziwny kształt i pokryta jest jakby grzybkami różnej wielkości.

Poniżej: Walka głowonoga z olbrzymim krabem stanowi często „atrakcję“ głębin morskich.



Poniżej na prawo: Potwal, odmiana uzębionego wieloryba, napada na olbrzymiego głowonoga.



i jedynie rozpaczliwa walka przy pomocy przygotowanych siekier i noży zdołała uratować wszystkich od niechybnej śmierci, zwłaszcza, że podczas walki łódź przechyliła się niebezpiecznie. Na drugą łódź, w której znajdowali się uzbrojeni pomocnicy Delmonta, napadły dwie ośmiornice, usiłując ściągnąć ludzi przy pomocy swych groźnych macek. Tylko z najwyższym trudem udało się im ujść wciągnięcia w morze i uratować życie.

Zbliżone do ośmiornic są kałamarnice i mątwy, przystosowane do życia na pełnem morzu. Posiadają one dziesięć ramion, z których dwa zwykle schowane w specjalnych kieszeniach, z których mogą się wysuwać i wtedy są dwa razy dłuższe od innych. Te dziesięcionogi dochodzą nieraz do olbrzymich rozmiarów. Ramiona ich mają po kilkanaście metrów, a ciało waży nieraz ponad pół tysiąca kilogramów.

Te olbrzymie prawdziwe potwory morskie stanowić mogą wielkie niebezpieczeństwo dla poszczególnych ludzi, a także nawet dla większych łodzi. Na szczęście przebywają one zwykle w głębokościach kilkuset metrów i rzadko tylko wychylają się na powierzchnię wody.

Niewielu tylko wrogów mają ci żarłoczni rabusie mórz. Stanowią je drapieżne ryby, a przedewszystkiem rekiny i z wielorybami spokrewnione potwale czyli kaszaloty. Te ostatnie zwłaszcza toczą zwycięskie naogół walki z głowonogami-olbrzymami. Kaszaloty należą do największych ssaków i wielkością swego ciała przekraczają nieraz długość 20 metrów. W przeciwieństwie do bezzębnych wielorybów posiadają uzębione szczęki, które decydują w walce z głowonogami. Kaszaloty odznaczają się tem, że paszcze swą mogą otwierać niezmiernie szeroko, niemal pod kątem prostym. I to stanowi ważny atut w walce z ośmiornicami. Dłużej trwająca walka może przynieść zwycięstwo wieloramiennemu mięczakowi, ponieważ po dłuższym pobycie pod wodą kaszalot musi wypłynąć na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza.

Łowcy wielorybów, którzy polują również i na kaszaloty, niejednokrotnie donoszą o takich walkach, naogół jednak mówią o walkach wielorybów z wężami morskiemi. Nie można się temu dziwić, bo kilkunastometrowe ramiona takiego głowonoga-olbrzyma można wziąć zwłaszcza zdaleka za sploty jakiegoś tajemniczego węża morskiego.



Wyławianie rekina w akwarjum w Manly (Austr[illegible]), który został rozpruty przez rywala.

W starożytności znano zarówno ośmiornice, jak i kaszaloty. Gdy część wojska macedońskiego wracała z Indyj do Arabji pod wodzą Stearcha, na morzu ukazały się olbrzymie zwierzęta, które przerażały załogę wyrzucanemi w górę strumieniami wody. Nie brak nawet przypuszczeń, że mityczna sześciogłowa Scylla była olbrzymim głowonogiem, a Charybda — olbrzymim kaszalotem.

Skoro poznamy życie głębin morskich, przekonamy się łatwo, że mieszkańcy ich pozostają ze sobą w ciągłej walce, prowadzonej wszelkiemi środkami, na śmierć i życie. Nie może to nas dziwić, gdyż przecież całe życie polega na wzajemnem pożeraniu się, które u nas, ludzi, dochodzi w wojnie do punktu kulminacyjnego.

Dr. Z. M.

Gwiazda, która wczoraj zgasła...



„Mała Zula" w rewji teatru Qui Pro-Quo — „Maj za pasem".



Na prawo: Zula Pogorzelska wśród kwiatów swego ogrodu w Warszawie.

Pogorzelska i Żelichowska w „Pięknej Galatei" Suppego.



Przed siedemnastu laty, w małym ogródku warszawskiej „Bagateli" pojawiła się tancerka, której występy cieszyły się wielkiem powodzeniem wśród stałych bywalców tego lokalu. — Przybyła z dalekiego Krymu, skąpana w gorących promieniach południowego słońca, pełna radości, że nareszcie zdołała uciec z bolszewickiego piekła. Taniec jej cechował żywiołowy temperament, ujęty w ramy prawdziwej sztuki choreograficznej, popartej niezwykłym wdziękiem osobistym artystki, inteligencją i świetnemi warunkami zewnętrznemi.

Nic więc dziwnego, że rychło zwróciła na siebie uwagę człowieka, który w ówczesnem życiu kabaretowem Warszawy „grał pierwsze skrzypce" i słusznie nazywany był „odkrywcą gwiazd". Jerzy Boczkowski, bo o nim tu właśnie mowa, serce i mózg najlepszej przez długie lata sceny rewjowo-kabaretowej stolicy, „Qui-Pro-Quo", angażuje tancerkę do swego teatru jeszcze w tym samym sezonie. Pod jego reżyserskiem okiem rozwija się ten prawdziwy kwiat najczystszego talentu, nabierając szlifu w małych początkowo skeczach. Dopiero w roku 1920 widzimy małą tancerkę z ogródka „Bagateli" w tytułowej roli dwuaktowej operetki Własta, z muzyką Piotrowskiego i wówczas po raz pierwszy pojawia się jej nazwisko w plejadzie ówczesnych, największych gwiazd stolicy.



W teatrze „Morskie Oko".

Od tej chwili Zula Pogorzelska jest na ustach całej Warszawy. Staje się ulubienicą publiczności, a sława jej zaczyna promieniować na wszystkie miasta prowincjonalne. Ale dopiero rok 1924 przynosi jej pełnię artystycznego sukcesu w rewji „Hallo ciotka!". Szczęśliwie uchwycony genre paryskiej chancon pozwala artystce na stworzenie świetnych kreacyj w stylu wielkich vedett francuskich, a śpiewane przez nią piosenki, jak np. „Ja się boję sama spać" stają się słynnymi przebojami na lata całe. W tym samym roku, na skutek ambicyj jednostek następuje rozłam w „Qui-Pro-Quo" i szereg artystów emigruje do nowopowstałej rewji Własta „Perskiego Oka", która szybko przenosi się do nowego lokalu i tam jako „Morskie Oko" olśniewa widzów przepychem i pomysłowością wystawy.

W szeregach „emigrantów" znalazła się i Zula Pogorzelska. Przez cały czas pobytu „na obczyźnie" nie przestaje pracować nad dalszym rozwojem i pogłębieniem swego talentu, tak, że w chwili powrotu na deski macierzystego teatru (1931) widzimy jej sylwetkę artystyczną w nowej, jeszcze bogatszej szacie interpretacyjnej. W rewji „Maj za pasem", w której Zula jako uczennica 4-tej klasy zdawała egzamin z dziejów ojczystych w latach 1929—30, zajaśniał może po raz pierwszy jej kapitalny talent w odtwarzaniu postaci charakterystycznych. Raz uchwycona, ta właśnie linja mistrzowskiej interpretacji prowadzi artystkę przed objektyw aparatu kinowego, który przenosi na taśmę filmową szereg kapitalnych kreacyj Zuli, zupełnie niewyzyskanych przez wytwórców, a pogrzebanych brakiem wartości całych obrazów, w których niestety brała udział. Inny reżyser posiadając taką perłę w swym zespole, wiedziałby, jak ma ją oprawić.



W rewji „Parada gwiazd".

Zrażona wynikami pracy przed objektywem, oddaje się całkowicie scenie kabaretowej i wkrótce do skarbca swej sztuki dodaje jeden jeszcze ostatni klejnot w postaci zupełnie odmiennej od dotychczasowych wzorów interpretacji piosenki sentymentalnej.

Dziś, po długich miesiącach zmiennej choroby, niema jej już wśród nas... Zgasła prawdziwie wielka gwiazda, której promienie błądząc w dalekich przestrzeniach kosmosu, może kiedyś pod inną postacią wrócą jeszcze na osieroconą scenę polskiego kabaretu. J. Leo.



W kole: Zula z czasu występów w „Cyganerji".



W rewji „Jarmark śmiechu" kabaretu „Banda".

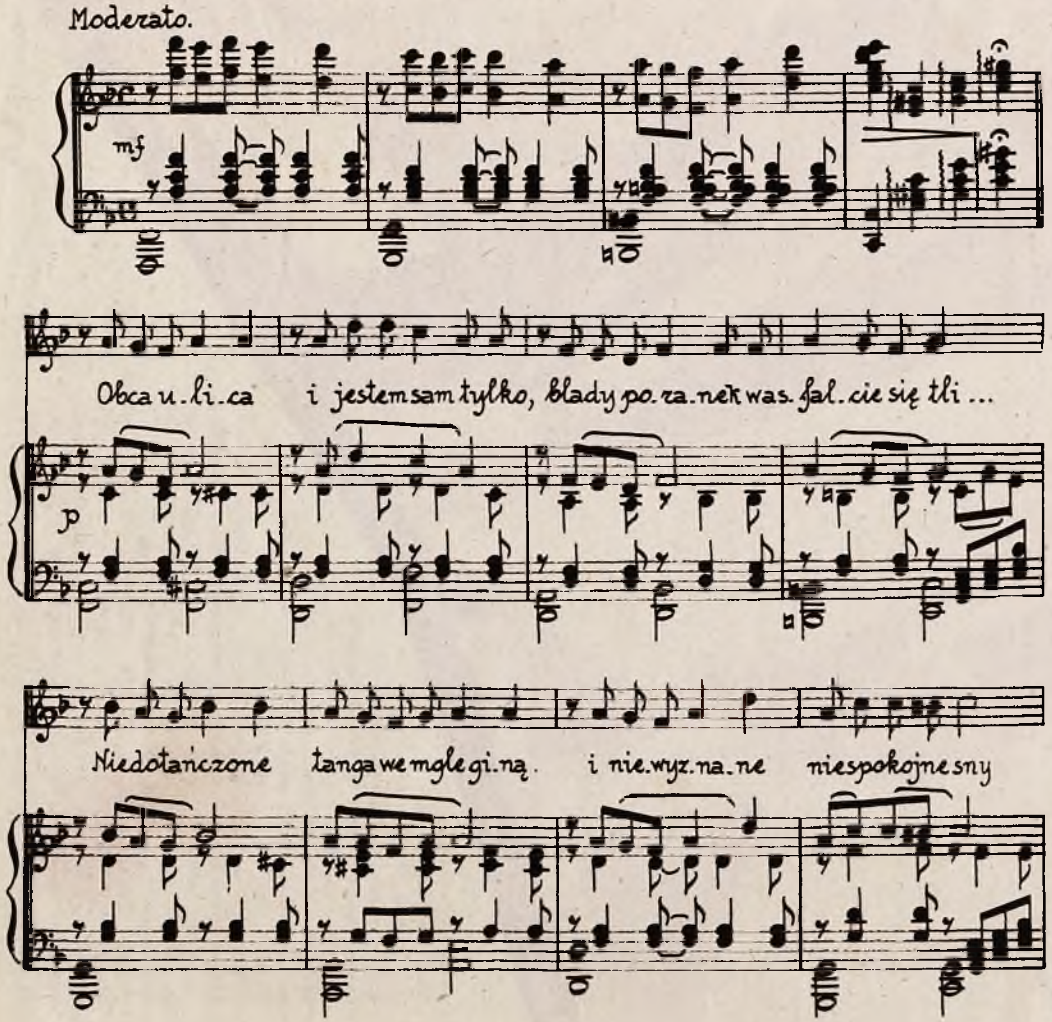


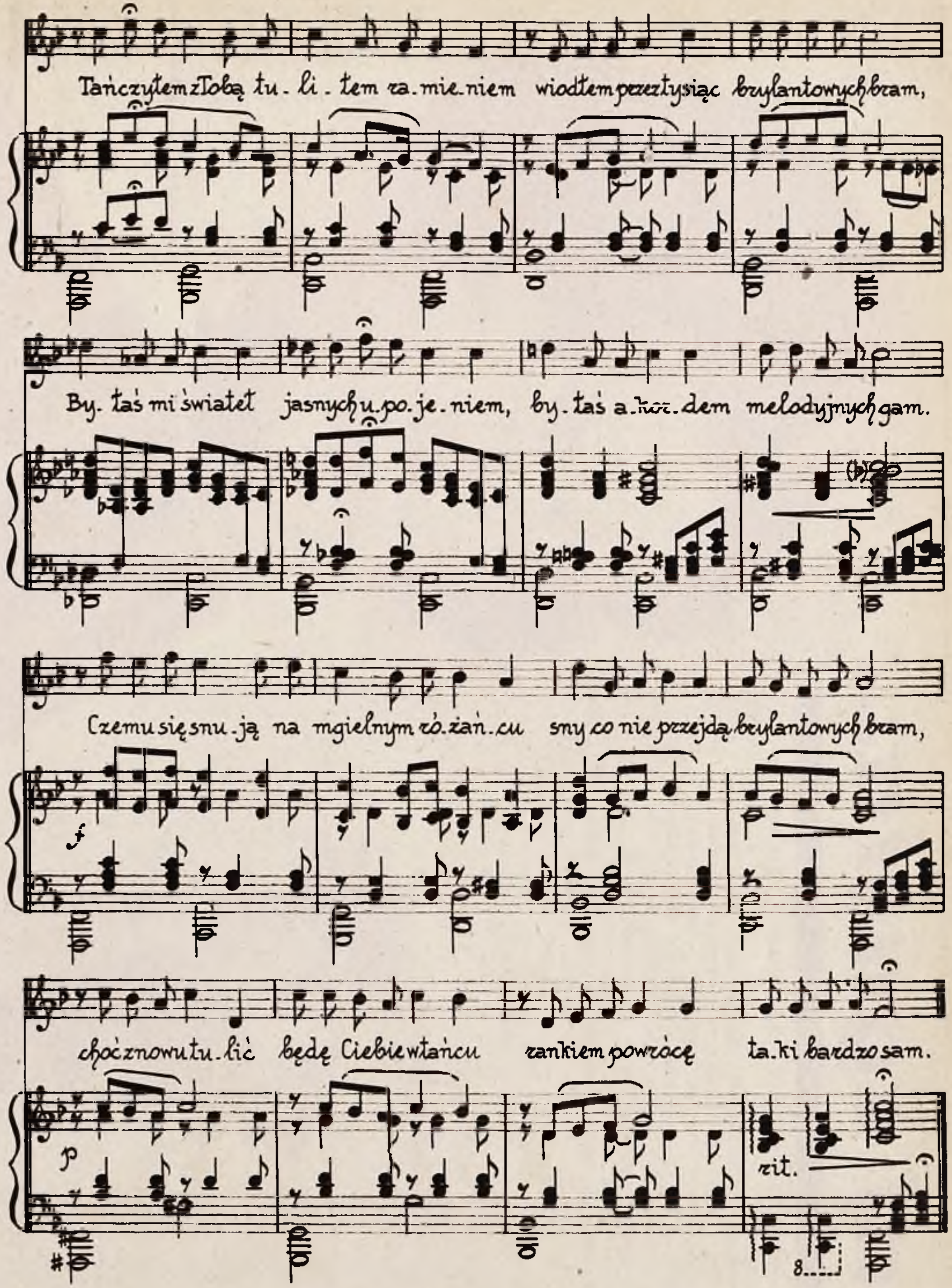
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

Samotność

pieśń

Muzyka: STANISŁAWA MIKUSZEWSKIEGO. Słowa: ROMANA BURZYŃSKIEGO.





Przeboje „Asa" na antenie

W ubiegłą niedzielę krakowska rozgłośnia Polskiego Radja nadała w godzinach wieczornych ciekawy koncert. Program jego składał się z kilku najpiękniejszych przebojów teki muzycznej „Asa".



Witold Zechenter, autor tekstów.

Ta właśnie rubryka jedynego polskiego Magazynu ma już ustaloną markę i jest niezwykle lubiana przez muzykalnych Czytelników „Asa". Przeboje zyskały sobie popularność nietylko wśród przyjaciół Magazynu, której jednym z dowodów jest właśnie inicjatywa znanej śpiewaczki p. Julji Ilnickiej, oraz dyr. Kazimierza Meyerholda w urządzeniu wspomnianego koncertu na falach eteru, ale i wśród licznych w całym kraju zwolenników muzyki tanecznej.



Julja Ilnicka, świetna wykonawczyni przebojów „Asa".

Koncert wzbudził wielkie zainteresowanie wśród radjosłuchaczy, o czem świadczą liczne listy, jakie do redakcji naszej nadeszły. Okazuje się, że myśl wprowadzenia w „Asie" takiej stałej stronicy muzycznej, gdzie reprodukowane są z pierwszej ręki nowe utwory polskich kompozytorów piosenek i utworów tanecznych, była bardzo szczęśliwą, bardzo potrzebną i oryginalną, gdyż żaden inny tygodnik polski podobnej rubryki — której zamieszczanie połączone jest zresztą z licznemi specjalnemi kosztami i odrębną pracą — nie posiada.

To, że ów koncert przebojów „Asa" zyskał sobie takie zainteresowanie i oklaski (w listach!) u radjosłuchaczy, jest wielką zasługą p. Julji Ilnickiej, która stała się znakomitą interpretatorką lekkiej piosenki, chociaż skala i walory jej głosu predysponują ją na śpiewaczkę utworów klasycznej muzyki. Wykonuje ona piosenki w swoisty sposób, śpiewa z uczuciem; dykcję w śpiewie ma doskonałą — jednem słowem, daje w każdym z wykonanych utworów małe arcydziełka. Sukces dzieli również dyr. Kazimierz Meyerhold, który dał świetne arrangement czterem wykonanym przebojom jako specjalista w dziedzinie muzyczno-radjowej i zasłużony na terenie Polskiego Radja w Krakowie twórca wielu ciekawych audycyj muzycznych, zespołów śpiewaczych itp., a który ponadto swym akompanjamentem fortepjanowym podniósł i podkreślił każdy wykonany utwór.

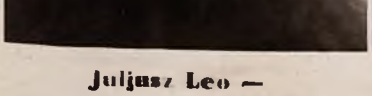
P. Julja Ilnicka wybrała do tego recitalu cztery przeboje „Asa", a mianowicie, w kolejności ich wykonania przed mikrofonem — tango Stanisława Lipskiego „Miłość o zmierzchu", foxtrot Kazimierza Meyerholda „O jeden sen", tango Juljusza Leo „Przyjdź" i slowfox Władysława Bugayskiego „Jutro cię zobaczę".

Słowa do tych czterech piosenek tanecznych napisał znany poeta i literat krakowski Witold Zechenter, dając piękne utwory poetyckie pod wtór muzyki, wybijające się pięknem słowa i formy w naszej niestety tak bladej i nisko stojącej dziedzinie słów do znanych przebojów.

Dr. J.

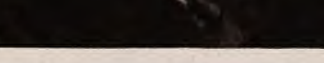


Juljusz Leo — *tango „Przyjdź"*



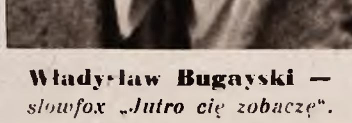


Kazimierz Meyerhold — *foxtrot „O jeden sen".*



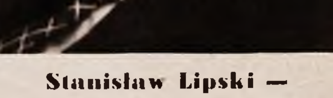


Władysław Bugayski — *slowfox „Jutro cię zobaczę".*





Stanisław Lipski — *tango „Miłość o zmierzchu".*





ANTAGONIŚCI, CZY

Chociaż Kiciuś robi wrażenie, jakby się głęboko zastanawiał — nie jest jednak wykluczonem, że wypatruje na wszelki wypadek drogę ewentualnej ucieczki, gdyż...



PRZYJACIELE?

...dobrotliwie wyglądający i cieszący się ogólnym poważaniem na podwórku seter „As" miewa czasem nieprzewidziane humory i może w braku zwierzyny... „wystawić" Kiciusia.

Dokończenie ze str. 12-ej.

— Doprawdy! — rzekła pani Colville.

— Muszę się przyznać, że jestem lunatykiem i że ostatnie dwie noce spędziłem bez zwyczajnego środka nasennego. Proszę się nie niepokoić. Przykro mi, że naraziłem się na pośmiewisko. Pójdę dziś do Shoreham po jakieś lekarstwo. Powinienem był zrobić to już wczoraj.

Ale w połowie drogi przez wydmy, przy kamieniołomach, ćma napadła znowu na Hapleya. Szedł, próbując zająć się problemami szachowemi, ale napróżno. Owad latał koło jego twarzy, a on bronił się przed nim kapeluszem. I nagle opanowała go wściekłość, dawna wściekłość, wściekłość, jaką tak często budził w nim Pawkins. Zaczął biec, starając się ugodzić lub odpędzić natrętnego owada. Nagle stracił grunt pod nogami i spadł w otchłań.

Kiedy przyszedł do siebie, znalazł się na zwale drobnych kamieni, przed wejściem do kamieniołomu. Jedną nogę miał złamaną. Dziwna ćma wciąż jeszcze latała koło jego głowy. Zamierzył się ręką i odwróciwszy głowę, ujrzał dwóch mężczyzn, którzy szli w jego stronę. Jeden z nich był wiejskim lekarzem. Hapleyowi przyszło na myśl, że zjawia się w samą porę. A potem, kiedy uprzytomnił sobie, że nikt, poza nim, nie może zobaczyć tajemniczej ćmy, postanowił zachować milczenie.

Późno w nocy jednakże, kiedy lekarz złożył jego złamaną nogą, dostał gorączki i zapomniał o panowaniu nad sobą. Leżąc na łóżku, zaczął rozglądać się po pokoju, aby przekonać się, czy nie ujrzy ćmy. Wkrótce ujrzał w świetle nocnem owada, który siedział na zielonej kapie, tuż przy jego ręce. Skrzydła ćmy drżały. W nagłym przypływie wściekłości uderzył pięścią i pielęgniarka obudziła się z krzykiem. Nie trafił.

— Ćma! — rzekł, a potem — Zdawało mi się. To nic!

Przez cały czas widział owada wyraźnie na sprzętach lub podczas przelotu przez pokój i widział także, że pielęgniarka nic nie widziała i że przyglądała mu się z dziwną miną. Musiał panować nad sobą. Wiedział, że jest stracony ,jeśli nie będzie nad sobą panował. Ale w miarę, jak zbliżał się dzień, ogarniała go coraz większa gorączka, a strach, że może zobaczyć ćmę, sprawił, że ją ujrzał. Około piątej, kiedy zaczął budzić się dzień, próbował wyjść z łóżka i schwytać ją, chociaż noga sprawiała mu wielki ból. Pielęgniarka musiała z nim walczyć.

Wobec tego przywiązano go do łóżka. — W tych warunkach ćma uczuła się pewniejszą i raz uczuł, że usiadła mu na włosach. Potem, ponieważ zaczął gwałtownie wymachiwać rękoma, skrępowali mu je także. Teraz ćma przyleciała i zaczęła chodzić mu po twarzy, a Hapley płakał, przeklinał, krzyczał, prosił ich, aby ją z niego zdjęli, ale napróżno.

Lekarz nie grzeszył inteligencją. Był to przeciętny wiejski praktyk, który nie znał się na chorobach umysłowych. Powiedział poprostu, że nie widzi żadnej ćmy. Gdyby miał trochę sprytu, może udałoby mu się ocalić Hapleya przez przykrycie jego twarzy gazą, jak się tego domagał. Ale, jak wspomniałem, lekarz nie grzeszył inteligencją i dopóki noga nie zagoiła się, Hapley leżał przywiązany do łóżka, a urojona ćma chodziła po nim. Nie opuszczała go, kiedy nie spał i trapiła go we śnie. Od chwili, kiedy się ocknął, pragnął usnąć, ale ze snu zrywał się z krzykiem.

A teraz Hapley spędza resztę swych dni w zakratowanym pokoju, nękany przez ćmę, której nikt nie widzi. Lekarze zakładu dla obłąkanych nazywają to urojeniem. Ale Hapley, kiedy jest w lepszem usposobieniu i kiedy może mówić, utrzymuje, że to duch Pawkinsa i że chociażby z tego powodu, jako okaz jedyny w swoim rodzaju, zasługuje na schwytanie.

Życie towarzyskie i artystyczne

POLSKIE SUKCESY TANECZNE W STOCKHOLMIE



Zdobywczyni pierwszej nagrody na zeszłorocznym międzynarodowym konkursie tańca artystycznego we Wiedniu Ziuta Buczyńska wystąpiła świeżo dwukrotnie w Sztokholmie, zaproszona tam przez Akademję Królewską. Oba występy przyniosły jej ogromny sukces. Publiczności i prasie sztokholmskiej przypadły do gustu specjalnie polskie tańce ludowe, a więc: odznaczony we Wiedniu taniec „chłopski“ oraz kujawiak i oberek, dane na zakończenie obfitego programu. Punktem kulminacyjnym był taniec p.t. „Niepotrzebne dziecko“, który przysporzył jej w ub. r. pierwszą nagrodę we Wiedniu.

Po występie poseł R. P. w Sztokholmie p. A. Roman wydał wielki raut na cześć Ziuty Buczyńskiej. Obecni przedstawiciele arystokracji, dyplomacji i świata artystycznego Szwecji gratulowali naszej tancerce sukcesu, a posłowi Romanowi wyrazili uznanie spowodu nowego dowodu wrodzonych narodowi polskiemu choreograficznych zdolności, znanych zresztą już w Szwecji, gdyż Jan Ciepliński był przez trzy lata baletmistrzem stokholmskiej Opery Król.

KARNAWAŁ „BIAŁEJ STOLICY“ POLSKI



Poza rozlicznemi atrakcjami sportowemi zima b. r. dała Zakopanemu kilka pięknych bali, wśród których na pierwszem miejscu stanął bal Prasy Sportowej. Sale hotelu Bristol, ozdobione nadwyraz udanemi karykaturami gościły elitę towarzyską i sportową. Zarówno urodą, jak też i pięknemi toaletami zdobyły ogólne uznania p. Kazimiera Skalska, (pierwsza od lewej na naszem zdjęciu), znana artystka scen warszawskich, oraz p. Olga Sławska, urocza balerina Teatru Wielkiego w Warszawie.



Nowa speakerka rozgłośni w Warszawie

P. Joanna Poraska opuściła ostatnio Poznań, by objąć stanowisko speakerki rozgłośni warszawskiej. P. Poraska jest również utalentowaną artystką dramatyczną i zdołała sobie zyskać sympatje licznych radjosłuchaczy.

Opera „Andrzej Chénier“ w Poznaniu.



Teatr Wielki w Poznaniu wystawił ostatnio niegraną jeszcze w Polsce operę wybitnego kompozytora włoskiego Umberto Giordano p. t. „Andrzej Chénier“. Wielkie uznanie publiczności zdobyła p. Korytko-Czapska, oraz p. Dolnicki, których widzimy na pierwszym planie naszego zdjęcia.

Dzieci Szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

27-ty ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA

Wiedziała aż za dobrze — dzięki jakiemuś nieomylnemu wyczuciu, że — nawet gdyby chciał, nawet gdyby sam wierzył, że potrafi to zrobić — Plessoye nie byłby zdolny zdradzić ich wobec rządu hiszpańskiego, tak jak jej tem groził. Lecz, żeby posunąć się aż tak daleko — żeby z powodu niej zapomnieć do tego stopnia o rozsądku — o godności własnej — o honorze — to trzeba było... trzeba było...

Nie miała odwagi skończyć nawet swej myśli... I zapytała tylko, bardzo cichutko:

— Więc zrobiłby pan to... dlatego, że ja...

Plessoye udał, że nie rozumiał tego pytania — tak jak udawał, że nie widzi i nie rozumie, co działo się w nim. Uciekł się do dywersji:

— Ależ to jest niesłychane! — Przecież ten człowiek — ten Jasarte — jest niczem dla pani! — Ani mężem, ani kochankiem...

— Bezwątpienia — odrzekła Roberta — spędziłam z nim wszystkiego pięć, albo siedem nocy.

Plessoye nie zdołałby nigdy uwierzyć wpierw, że serce ludzkie może zaznać nagle uczucia takiego ckliwego zimna... Ten skurcz... potem ta podnosząca się — obrzydliwa jakaś i lepka — fala bolu, nie do zniesienia...

I natychmiast zrodziło się w nim jakieś mętne i niskie pragnienie, by zapuścić się w te jakieś duszne i mroczne kanały — zacząć w nich grzebać — zatracić się w nich... Wstrzymując dech, by nie zdradzić, jakie szatany rozpętały się w nim i kalały mu duszę, zapytał półgłosem:

— A tamci... także?

— To pan nie wiedział o tem?

Okropny uśmiech — bezecny i zarazem pełen niewypowiedzianego bolu, ściągnął ku dołowi piękne usta Plessoye.

— Nie. — Bardzo mi przykro — nie byłem powiadomiony o tem... A jednak, myślałem sobie czasem, że te wielkie czyste uczucia...

Roberta nie uczuła się bynajmniej dotkniętą. Widziała tylko jedno: że Plessoye cierpi. Cierpi mękę, której istoty ona nie może ani zrozumieć, ani pojąć nawet, lecz czuje, że męka ta oddala go od niej... Cóż wobec tego znaczyło wszystko inne! — I nie, żeby się uniewinnić („O cóż ten żal, tak wielki, do mnie?" — myślała) — lecz, żeby zatrzeć ślady spustoszenia, jakiemi znaczył się ból, szalejący w duszy, na tych rysach tak drogich, poczęła mówić powoli, z wielką prostotą i czułością:

— Poznałam Ivana w Casa — gdzie wszystko było takie nudne, przygniatające... A on był taki wesoły! — Słyszał pan, jak śmiech jego dzwoni... Naprawdę, to Vivant pragnął mojej przyjaźni tylko. Ale mężczyzna i kobieta, którzy widują się często — bawią się wieczorami po lokalach — piją — rozumie pan... Przychodzi taki wieczór, kiedy — sama nie wiem czemu — ale to nie wystarcza już... A Le Droz, to znów ta siła, która z niego bije i chroni, jak tarcza... Przynajmniej zdawałoby się, że powinna tak chronić... I ta jego niezwykła inteligencja! Ani pan nie wie, jak bardzo można potrzebować jej nieraz... A potem, Le Droz ma taką niesłychaną potęgę pożądania... a to jest zaraźliwe... (Plessoye, zdawało się, że ziemia chwieje się pod nim...). — Wszystko to dało mi złudzenie, że go kocham... Ale to nie trwało długo...

Roberta urwała, nie wiedząc już, jak mówić dalej.

— A Jassarte? — zapytał Plessoye mimowoli — i mimo wszystko.

— Jakżeż mogłam nie starać się pocieszyć Ramona! Gdyby go pan widział wtedy, jak tu wrócił — zgnębiony — samotny... Bo nawet ci barbarzyńcy, jakimi potrafią być czasem Vivant i Le Droz — choć niechcąco, ale ranili go wtedy.

Roberta ujęła ręce Plessoye. Były lodowate i jak obumarłe. Niewypowiedziana litość objęła jej serce... Zaczęła głaskać te ręce — poprostu, aby wlać w nie trochę własnego ciepła. I poczęła go błagać:

— Niech mi pan zwierzy, czemu pan tak bardzo cierpi z ich powodu? Bo widzę, że pan cierpi, a nie mogę pojąć dlaczego... Nie ma rzeczy, którejby ci trzej ludzie nie zrobili, żeby mi pomóc — tak samo, jak ja zrobiłabym wszystko dla nich. My czworo, nie cierpieliśmy nigdy jedni przez drugich. Jedynie życzliwość — gotowość do poświęceń i radość były między nami... Doprawdy, nie wierzę, żebyśmy kiedykolwiek zrobili coś złego...

A Plessoye patrzył — patrzył na nią bez słowa i ręce jego drżały.. Wtedy Roberta zbladła i dodała:

— Jeśli sprawiam panu ból — niech mi pan przebaczy. — Poza panem nie ma dla mnie życia...

Plessoye zdawał się teraz być ostatecznie przybity tem wyznaniem; jakby był żywił dotąd niejasną nadzieję, iż ze strony Roberty padnie jakieś nieodwołalne słowo — słowo kładące kres wszystkiemu, a którego sam nie miał siły wymóc na sobie.

A młoda kobieta, jakby odgadła to załamanie się — to pomieszanie uczuć i pragnień w jego duszy — ten strach jego przed utratą wolności, najcenniejszego skarbu dlań i atutu. I owa wrodzona jej zdolność otaczania drogiej istoty życzliwością, tak subtelną w przejawach, że prawie niematerjalną, a która obcowaniu z nią nadawała jakby przeźroczystość tafli szklanej, kazała jej powiedzieć:

— Ramon, Le Droz i Ivan łatwi są w pożyciu. Nie mieszają się nigdy do uczuć i poczynań drugiej istoty. Nie kochałam ich... A pan — pana, którego widzę w tej chwili zazdrosnym, porywczym, niesprawiedliwym, despotycznym... Widocznie, żeby pokochać, trzeba było, żebym się ugięła — dała się wziąć komuś...

Plessoye popatrzył na nią podejrzliwie. Lecz nieufność jego rozwiała się prędko. Twarz, którą miał przed sobą, niezdolna była do nieszczerości. I ogromna słodycz rozlała mu się w duszy — słodycz, którą daje zwykle rozwiązanie ciężkiej wewnętrznej walki — i klęska, dobrowolnie przyjęta.

— Więc nie pojedzie już pani? — zapytał.

Roberta cofnęła się o krok i przymknęła oczy.

I trwała tak przez chwilę w skupieniu, nasłuchując w sobie głosu owych potęg, które dotąd wiodły ją zawsze w życiu — a których prawości nie zdołało zachwiać nic: ani interes — ani niebezpieczeństwo — ani zdrowy rozsądek. Wreszcie rzekła bezbarwnym głosem:

— Choćbym miała stracić pana, to i tak pojadę do Villa Cisneros. Nie mogę inaczej... Nie mogę... W weselu i w smutku — w szczęściu i u progu śmierci — wszędzie byliśmy razem... I wszyscy czworo będziemy w Villa Cisneros. Jest niepodobieństwem, żeby pan miał cierpieć przez to — albo miał sprzeciwić się temu — jeżeli chce pan pozostać wierny samemu sobie — wierny pojęciu, jakie mają ludzie o panu — wiernym człowiekowi, którego pokochałam ponad wszystko na świecie.

Taki blask i taki smutek łagodny bił z niej, kiedy to mówiła, że słowa jej podziałały kojąco na Plessoye. Po chwili rzekł:

— Już nie cierpię — i nawet rozumiem panią... Tylko ta myśl o niebezpieczeństwie —

— O jakiż pan niedorzeczny! — zawołała Roberta, w jakiemś przemienieniu radosnem. — Czyż nam może nie udać się cośkolwiek?!

I podała naprzód ku niemu swą twarz, promieniejącą odwagą nieustraszoną i pewną zwycięstwa. On zaś pomyślał: „Ona ma jednak słuszność"...

— Przynajmniej jedźcie już i wracajcie prędko — rzekł odwracając głowę.— A gdybyście mieli jakieś trudności z uzyskaniem pozwolenia na przelot, albo na przewóz broni — dajcie mi znać o tem.

I nie pozwalając młodej kobiecie wyrazić sobie wdzięczności, mówił dalej, rozkazująco, władczo:

— Ale kiedy wrócicie z tej wyprawy, kiedy spłaci pani już ten ostatni dług przyjaźni — nie będzie się pani widywała więcej ani z Le Drozem, ani z Ivanem, ani z Jasarte. Tak chcę — i tego żądam. — Już nie dla siebie walczę tu, ale dla dobra pani. Nie przeczę, że zawsze byłoby mi ciężko widzieć panią w towarzystkie tych chłopców, młodych, pociągających — i którzy (Plessoye zacisnął zęby) — którzy wszyscy trzej znają ciało pani... I tego zdaje mi się, nie przebaczę pani nigdy... Niema na to usprawiedliwienia — zgadzam się z panią. To jest monstrualne — ale tak już jest.

I znowu to cierpienie lepkie i ckliwe, jakby ohydna ręka targała trzewia... Pod naciskiem tej dłoni, z trudem tylko zdołał pochwycić na nowo wątek własnych myśli.

— Tak — zaczął z wysiłkiem — ale nie chodzi tu o to, co mnie boli. Dla spokoju i równowagi pani, muszę usunąć panią z pod wpływu tej wściekłej żywotności, która ich rozsadza. Pani nie jest w stanie podążać za nimi w tem tempie. Le Droz, Vivant, Jasarte są wspaniali — ale jakże niebezpieczni! Zbliżając się do nich, trzeba zachowywać ostrożności, jakie stosujemy, zbliżając się do radu. Pani nie wie, nie może wiedzieć, jak dalece niebezpieczni są ci ludzie! Ja sam, zaledwie mogę się oprzeć ich urokowi. A kiedy jesteście razem, we czwórkę — niebezpieczeństwo staje się jeszcze groźniejsze. Przyjaciele pani niosą zgubę każdemu, kto, urzeczony ich czarem, puści się ich śladami. Niema w nich żadnej giętkości, żadnej zdolności przystosowania się, żadnego zmysłu społecznego. Ci ludzie urobieni są tylko z gwałtowności, z dzikiej odwagi — z przyjaźni najdoskonalszej, lecz fatalnej dla tych, którzy nie posiadają ich hartu. — Jednem słowem, nie będzie ich pani widywała, a przynajmniej, dopóki stanowić będą niebezpieczeństwo dla pani.

Mówił to bardzo prędko, żeby nie dać jej możności przerwania mu. Lecz ona nie próbowała nawet; a kiedy skończył, milczała jeszcze chwilę.. Coś ściskało ją za gardło — lecz wkońcu odpowiedziała bez goryczy:

— Przyjmuję... Tyle razy, choć nie rozumiałam jasno czemu, taki lęk mnie brał...

— Chyba nie większy, niż mnie! — rzekł z uśmiechem.

Lecz zaraz zasępił się znowu:

— Nie chcę... żeby tam... któryś z nich... dotknął pani — wyrzekł ze wstydem.

— Ależ żadnemu z nich ani w głowie! — zawołała Roberta.

Ze wszystkich szalonych rzeczy, które od trzech dni mówił sam, lub słyszał mówione koło siebie, to co Roberta powiedziała w tej chwili, wydało się byłemu ministrowi najbardziej niepojętą rzeczą...

XXII.

Barcelona... Alicante... Gibraltar... Tanger... Rabat... Agadir...

Samolot, niosący trójkę przyjaciół na ratunek czwartemu, podążał ku Południowi. Po każdym postoju, słońce prażyło mocniej i powietrze stawało się suchsze. I z każdym dniem członkowie młodocianej załogi samolotu czuli się bardziej oderwani od namiętności, zagadnień, i nadziei, które ich absorbowały i które pielęgnowali w sobie z takim zapałem. — Heroizm, który ich wiódł — szlachetnoć tej podróży po niebieskich szlakach — szczyty i przepaście, które wyłaniały się na chwilę pod nimi i rozpływały we mgle — błękitne fale mórz, to znów miasta, z miniaturowemi labiryntami ulic — wszystko to oczyszczało dusze Iwana, Roberty i Le Droza i wlewało w ich serca dostojną powagę.



...pochylał się nad kierownicą i hamulcami, którymi władał natchnioną wprost dłonią i szeptał...

Przygotowali z drobiazgową starannością wyprawę. Czasu mieli na to wbród. Okręt, który wiózł zesłańców na miejsce kaźni, posuwał się tak wolno w kierunku Villa Cisneros, że przyjaciele mieli kilka tygodni przed sobą, na przysposobienie się do podróży. Le Droz targował się zawzięcie, sprzedając, jedne po drugich, meble Roberty. Vivant kazał w swej obecności zrobić najdokładniejszy przegląd każdej części składowej aparatu. Roberta podjęła się przystosowania do długiej podróży pudła samolotu, zaopatrzenia go w żywność i w apteczkę. Broń kupowali razem, próbując póty, póki każden z nich nie natrafił na karabin i rewolwer, doskonale pasujący mu do ręki. Zajęcia te wypełniały im do tego stopnia czas i zaprzątały tak dalece ich umysły, że właściwie byli już od dawna w drodze, przed owym rankiem, kiedy to Vivant oderwał (trochę za prędko!) swój aparat od ziemi, na lotnisku w Bourget.

Lecz ryzykowny ten start, był jedyną nieostrożnością, na jaką pozwolił sobie pilot, w ciągu całej tej podróży. I zaiste, trudno byłoby mu złożyć większy dowód przyjaźni dla Ramona i ponieść dla niego cięższą ofiarę, niż oszczędzając w ten sposób własne swoje życie.

Chwilami, kiedy demon akrobacji za mocno go kusił, pochylał się nad kierownicą i hamulcami, którymi władał natchnioną wprost dłonią i szeptał:

— Poczekacie trochę, aż dostaniemy tu Ramona... Potańczymy wtedy!

I uspokojony tem nieco, wbijał swe skośne chińskie oczy w licznik i w zegary; kombinował tak ruchy aparatu, by oszczędzać, ile możności, motoru i baczył pilnie na kierunek lotu.

Le Droz i Roberta odczuwali tę samą powagę i to samo poczucie ceny, jaką miało teraz ich życie. I kiedy zostawiwszy już za sobą świecącą w słońcu, pogodną zatokę Agadiru, ujrzeli jak oko sięgało, ciągnące się wydmy piaszczyste Rio de Oro, głębokie wzruszenie ogarnęło ich.

Silniej od Ivana, zajętego ciągle swą maszyną i od Le Droza, który dwa razy już leciał nad tą pustynią, odczuwała Roberta tajemniczy urok tej przestrzeni, rozświetlonej słońcem, po której ślizgał się wolno miniaturowy cień samolotu. Wszystko tu było bezkresne, dziewicze, rozżarzone w słońcu — i lazur oceanu i płowa falistość piaszczystych wydm i wybrzeże morskie, strojne w wieńce z pian, pławiące się w słońcu. Wszystko tchnęło tajemnicą, niebezpieczeństwem i nieskończonością. Roberta przypomniała sobie, co czytała o rozbitkach, błąkających się na tych pustynnych wybrzeżach; o jaskiniach skalnych, w których marli z pragnienia ludzie; o Maurach, kryjących pod niebieską zasłoną ciemne oblicza przed słońcem, panach tego królestwa grozy, zapiekłej w słonecznym żarze.

„Mały defekt motoru — mówiła sobie i stajemy się pastwą piasków — i tych szatanów..."

Lecz, mimo iż odwaga jej fizyczna nie mogła sprostać odwadze towarzyszy, nie drżała na tę myśl. Majestat i groza pejzażu, który się pod nią roztaczał, niweczyły wszelki strach, a w jego miejsce budziło się w duszy młodej kobiety coś w rodzaju religijnej ekstazy. Nie myślała już o Plessoye, ani nawet o Ramonie; zapomniała o towarzyszach, czuwających obok niej, na tej maleńkiej, uskrzydlonej komórce, która dzielnym lotem wpierała się w nieskończoną przestrzeń nieba. I przez długie godziny Roberta trwała tak w bezruchu, opętana przez ducha pustyni.

(Ciąg dalszy nastąpi).







Łamigłówki mody męskiej



W obecnym sezonie przyjęło się noszenie do marynarek sportowych długich spodni, które w przeciwstawieniu do dawniejszej mody są znacznie ciemniejsze w tonie od samej marynarki i wykazują tendencję do zachowania dwóch zasadniczych kolorów: granatowego i bronzowego. Dobór tych kolorów zależy oczywiście od barwy marynarki. I tak granatowy skombinujemy z wszystkiemi odcieniami popielatemi; natomiast bronzowy nadawać się będzie do odcieni beige, terracotta i t. d.

Przy długich spodniach najodpowiedniejszym krojem marynarki pozostało obszerne sacco, z nakładanemi kieszeniami, lekko w szwach stebnowane. Jedyną koncesją na rzecz nieznacznie wciętej talji będą tu plecy, zmarszczone z pomocą gumowej taśmy. Wszystkie dragony, kontrafałdy i szlice dopuszczalne są z zasady tylko przy krótkich spodniach. Te ostatnie uległy też zasadniczej reformie. Dawniejsze obszerne, przesadnie długie pumpy przeszły już do historji. Dziś dobrze ubrany gentleman trzyma się miary pośredniej, która dopuszcza wywinięcie spodni najwyżej dziesięć centymetrów poza kolana. Również i szerokość nogawek uległa redukcji z wyraźną korzyścią dla smukłości linji całego garnituru.

Klasycznem nakryciem głowy pozostała nadal angielska czapka. Modne są bardzo kapelusiki á la Tirolienne, przybrane różnobarwnemi piórkami. Osobny rozdział stanowią pullowery i szale, wśród których panuje dziś istna orgja barw. Dobrze ubrany gentleman nie powinien jednak zapominać o tem, że tylko dyskretny dobór kolorów zapewnia całości ubrania estetyczny wygląd.

Brummell.





M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI SIATKOWE (F·I·L·E·T)

Koronki siatkowe, zwane u nas ogólnie filetami, tuż przed samym wybuchem wielkiej wojny wyrugowały z obiegu koronki szydełkowe irlandzkie, a same stały się modne i panowały przez lat 20, prawie że wszechwładnie. Obecnie koronki siatkowe ustępują powoli miejsca technice szydełkowej i igiełkowej. Ponieważ jednak koronki dziergane, igiełkowe, są u nas bardzo mało znane, więc filety są jeszcze ciągle poszukiwane jako części składowe firanek, kap i jako serwety.

Koronki siatowe dzielimy na dwa działy, wybitnie różniące się między sobą: „filet antique" i „gipiury siatkowe".

Siateczki drobne, robione na cieniutkich drutach, zwą się „filet antique". Desenie na takich siateczkach wyszywa się rzadkiem cerowaniem. Siatki, robione na wałeczkach kościanych lub drewnianych, mających nawet 1½ cm. obwodu są znacznie grubsze od „filet antique", a wyszywane rozmaitemi ściegami, zapożyczanemi z techniki teneryfowej lub igiełkowej, nazywamy „gipiurami siatkowemi".

Gipiury siatkowe wyszywa się zwykle trojakim sposobem:

1) Zamiast cerowania charakterystycznego dla „filet antique", używamy ściegu dzierganego jak w koronkach igiełkowych. (Przykład we wzorze 1-szym).

2) Wzór wyszyty ściegami teneryfowemi, dzierganiem, cerowaniem, ściegami ażurowemi, a także wachlarzykami lub pajączkami, czyni technikę wyszycia gipiury bardzo efektowną. — (Wzór 1-szy).

3) W ostatnich czasach, wypełniamy również siatkę dawnemi ściegami, używanemi 50 lat temu n. p. szyjemy kra-



1. Fragment efektownego wzoru siatki gipiurowej z zastosowaniem różnych sposobów wyszywania.



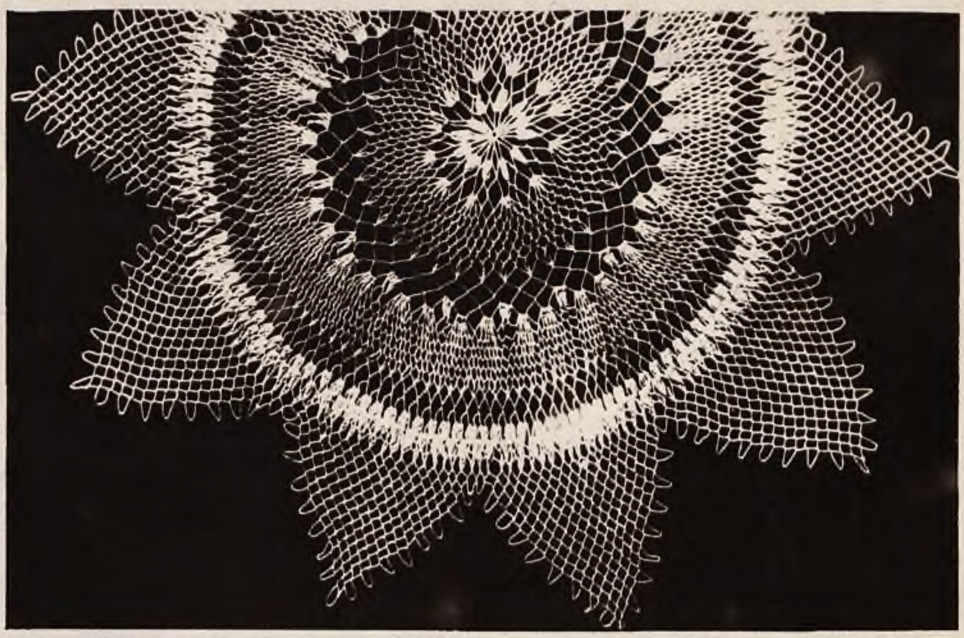
2. Wzór „filet antique" wyszywany cerowaniem.

teczkę ściegiem atłaskowym, ale w rozmaitych kierunkach, to znaczy, że kilka kratek w jednym kwiatku atłaskujemy z góry na dół, a kilka kratek obok atłaskujemy znowu wpoprzek od prawej ręki ku lewej. (Wzór 5-ty). Albo też cerujemy wzór w ten sposób, że ściegów pionowych w jednej kratce jest 8, a ściegów poprzecznych tylko 4.

Koronki filet możemy siatkować albo gładkie albo odrazu w desenie, jak to widzimy na wzorze 3-cim. Nasze prababki często nie wyszywały siatek, tylko robiły odrazu siatki wzorzyste na firanki i kapy.

Siatkując, możemy wykonywać rozmaite kształty, np. trójkąty, kwadraty, równoległoboki czyli pasy, koła, a nawet zęby.

Do siatkowania przygotowujemy iglicę, wałeczek i cięższy przedmiot n. p. pół cegły, którą obszyć należy kawałkiem grubej materji, aby tem trudniej było jej suwać się po stole. Do





3. Serwetka, robiona ozdobnym wzorem siatkowym.
4. Stylizowane winogrona w technice siatki gipiurowej.

tego przypinamy szpilką rozpoczynającą się robotę.

Do początkowej nauki powinniśmy używać grubej iglicy i grubych nici, bo wiązanie węzła siatkowego jest dosyć skomplikowane, a grubsza nić nie zerwie się tak łatwo.

Zaczynamy robótkę od momentu najtrudniejszego w technice siatkowej tj. zawęźlania węzła.

Gdy nawiniemy bawełnę na iglicę, wiążemy duże kółko, o średnicy np. 3—4 cm. Następnie to kółko, nie odcinając od bawełny na iglicy, przypinamy do materji na cegle.

Bierzemy wałeczek do lewej ręki i trzymamy go w pierwszych trzech palcach. Uważać jednak należy, by pierwszy palec na wałeczku cofnięty był trochę na lewo, a trzeci palec pod wałeczkiem wysunięty był na prawo.

W prawej ręce trzymam iglicę, nawiniętą bawełną, której zawęźlone kółko przypięte jest na cegle.

Iglicę zwracam ku sobie i kładę bawełnę na wałeczku: Owijam nią wałeczek razem z trzecim palcem naokoło. Przez chwilę iglica z bawełną jest z tylu wałeczka. Podnoszę ją, zwracam na lewo i przytrzymuję znowu bawełnę 1-szym palcem lewej ręki na wałeczku. Iglicą kieruję dalej tak, by bawełnę przytrzymaną pierwszym palcem, ułożyć w półkole nad kółkiem na cegle.

Teraz następuje główny punkt techniki siatkowej, bo zawiązywanie węzła.

Cofam trzeci palec, owinięty bawełną trochę w tył wałeczka, by otworzyć otwór między wałeczkiem, trzymanym pierwszym i drugim palcem, a trzecim palcem. Ale pamiętać należy, by pierwszym palcem przytrzymywać ciągle bawełnę na wałeczku.

Wkładam iglicę od dołu w otwór pomiędzy trzecim palcem a wałeczkiem i równocześnie od dołu w kółko przypięte na cegle. Iglicę wyciągam do góry, potem wprost do siebie. 4-tym i 5-tym palcem lewej ręki chwytam w tej chwili bawełnę wiszącą u iglicy i zamykam bawełnę w dłoni. Równocześnie puszczam bawełnę z pod pierwszego palca i trzeciego i iglicę z bawełną ciągnę do siebie. Równocześnie wałeczek trzymam pierwszym i drugim palcem, a bawełnę w dłoni trzymam jeszcze na 4-tym i 5-tym palcu.

Ciągnąc iglicę ku sobie, widzę, że w tyle wałeczka formuje się węzeł, a bawełna na 4. i 5. palcu tworzy coraz mniejsze koło. Wtedy przyciskam drugim albo trzecim palcem, jak komu wygodniej, ten węzeł za wałeczkiem, zrzucam bawełnę z 4. i 5. palca, pociągam silnie jeszcze raz iglicę ku sobie i węzeł zawiąże się całkowicie, a oczko siatkowe gotowe.

Zanim uchwycimy palcami ruch zawęźlania oczka, trzeba i dziesięć razy próbować, zupełnie tak samo, jak przy nauce szycia na maszynie, zanim uchwycimy takt ruchu nóg i obrotu koła.

C. d. n.

5. Siatka wyszywana ściegiem atłaskowym w dwóch kierunkach.



W ⋆ POGONI ⋆ ZA ⋆ REKORDEM

PIĘKNOŚCI



Pragnę być piękną! Piękną! — Tego westchnienia cór Ewy od najświetniejszej władczyni ekranu do najskromniejszego, rozkosznie młodego pionka rewji nie zagłuszy najbardziej opętany, najhałaśliwszy zgiełk w studjo filmowem. Gdzie zawodzi natura, tam pospiesza na pomoc sztuka. Sztuka kosmetyczna dla sztuki filmowej. Dwie te siostrzyce kroczą zgodnie, objęte nierozłącznym uściskiem. Jedna nie może istnieć bez drugiej, jedna staje się dla drugiej nieodzowna.

Bo jakżeż zaaprobuje estetyczny widz splot miłośnie zaciśniętych rączęk dokoła szyi ukochanego chłopca, jeżeli rączek tych nie zamieni sztuka kosmetyczna w istne klejnociki, w kwiaty o lśniącem, migdałowem zakończeniu nerwowych dłoni? Jak uznać wdzięk klasycznie pięknej divy, przeobrażonej w Greczynkę, skoro obute w sandałki stopy nie będą zachwycały świetną pedicurą i antycznym, doskonałym kształtem?

Lecz kosmetyka filmowa stanowi nietylko ostatni szlif urody, ale kształtuje rysy, nadaje twarzy właściwy wyraz i charakter, odpowiedni do roli. Ta sama artystka przeobrażać się przecież musi w naiwne, bezradne dziewczątko, to znowu w doświadczoną, energiczną kobietę, wreszcie w demona, zarzucającego sieć zmysłów i oszałamiających pokus na partnera. Małe, słodkie, niewinne usteczka, zarysowane kredką w serduszko, skłonne do płaczu i uśmiechu w ciągu jednej chwili, nie licują



Manicure Nancy Caroll odbywa się przy akompaniamencie gwaru studja filmowego



Mary Brian szminkuje się do zdjęcia filmowego na plaży.



Na lewo: Fryzjerka studja wytwórni „First National" poprawia fryzurę Betty Davis w pauzie między zdjęciami do filmu „Men on her Mind".

z twarzą kobiety demonicznej, o zmysłowym charakterze wampa, o rysach zakrojonych zachłannie i władczo. To to musi dokonać tej transformacji zręcznie stosowana sztuka kosmetyczna.

Albo jak często się zdarza, że scenarjusz przeskakuje w życiu tej samej bohaterki dziesięć i więcej lat, pełnych kalejdoskopowych zmian losu! Tego dzieła dokonuje właśnie kosmetyka filmowa. Naiwne, krągłe oczy podlotka zwężają się, pogłębiają cierpieniem, usta nabierają zdecydowanej mocy, rysy tężeją pod dłutem przeżyć. Dziewczątko przeobraża się w świadomą zasadzek losu kobietę-człowieka. Pomadki, kredki, szminka, pomagają w ciągu kilku minut do przeskoku szeregu lat.

— Proszę pani — jakżeż można ucharakteryzować się na laleczkę salonową do tego ludowego, tchnącego prostotą kosjumu!— pieni się oburzony reżyser. Artystka wstydzi się swego faux-pas. Przyznaje rację dyktatorowi studjo. Szybko biegnie do gabinetu kosmetycznego — a skoro niema już czasu, na poczekaniu wymazuje z twarzy jeden obraz i nakłada drugi. Kilka pociągnięć kredkami i ołówkami — i oto z pod barwnej chusteczki wyziera twarzyczka tak szczera i bezpośrednia, tak naturalnie ludowa bez finezji lalki salonów, jak prymitywny a zarazem pełen świeżości i wdzięku jest jej kostjum.

Trrrr! Dzwonek. Głośniki nawołują do pogotowia. Baczność, zaczynamy! Jeszcze jedno gorączkowe spojrzenie do lustra, umieszczonego na płycie stołu — o zgrozo! Usta mają wyrażać cierpienie kobiety, gnębionej losem, po strasznych przejściach moralnych i fizycznych, a oto są zbyt pełne, zbyt śmiałe i zdrowe. Szybko, szybko, zanim spostrzeże reżyser. Artystka usuwa niefortunne linje ust i nakłada nowe. Tak, teraz będzie dobrze. Jakiem szczęściem i ratunkiem staje się sztuka kosmetyczna!



Piękne girlsy z zespołu Ziegfielda poprawiają swą charakteryzację w czasie zdjęć do filmu „The Great Ziegfield" w studjo „Goldwyn-Mayer".



Na lewo: Pedicure Ily Meery, bohaterki francuskiego filmu „Marjusz i Oliwja w Paryżu".

W garderobie girlsów gorączkowa wrzawa, jak w pszczelnym ulu. Za chwilę zdradne światło jupiterów odkryje wszystkie mankamenty i braki, naświetli nielitościwie niedoświadczenie charakteryzacji niejednej z kandydatek na przyszłe gwiazdy. Każda sięga nerwowo po zbawcze lusterko i nieodzowne kredki. Jedno i drugie dotknięcie ołówkiem, kredką, czy szminką, usztywnienie brwi, przeczesanie czupurnych włosów — i oto mogą poddać się krytycznemu egzaminowi spojrzenia reżysera i blaskowi świateł. Niejedna z uroczych pionków rewji przykłada do tego występu znaczenie, które zadecyduje o zwrocie w jej życiu. Czyż nie jest tak wężowo zgrabna, jak Greta Garbo? Czyż nie ma klasycznie pięknych, choć nie tak wysoko ubezpieczonych nóg, jak Marlena Dietrich? Czyż nie posiada nieodpartego wdzięku Nancy Carrol? A jednak jakieś tajemnicze fatum nie zezwala jej wystąpić na widownię właściwego popisu, nie daje ukazać w całym blasku urody i talentu. Może nowa linja brwi, zmieniająca twarz jej na tajemniczą i zagadkową, zwróci wreszcie uwagę pana i władcy studjo?

Ale już zapóźno. Baczność! zaczynamy!!

Mab.



Glenda Farrell szminkuje swe usta przy pomocy lustra, umieszczonego na powierzchni stołu.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PRZYSTAWKA Z MÓŻDŻKU. Przyrządzić ciasto z 1 jajka, łyżki octu i 2 łyżek mleka oraz szczypty soli i takiej ilości mąki, aby powstało ciasto jak na lane kluski. Móżdżek cielęcy ugotować w wodzie z solą i octem, następnie obrać z błon i żyłek, pokrajać w cienkie płaty na dwa palce szerokie, maczać w cieście i smażyć pływająco w mieszanym tłuszczu, do koloru złotego. Podaje się z zieloną sałatą.

SZNYCELKI ZE ŚLEDZIA. Dużego śledzia obrać ze skórki i ości, następnie zamoczyć w mleku na kilka godzin, potem zemleć lub rozetrzeć dokładnie, 1 kg ziemniaków ugotować i utrzeć z mlekiem i łyżką masła na puree, dodać smażoną cebulkę i masę śledziową, wymieszać je w bułeczce i smażyć na maśle.

PRYSTAWKA Z RESZTEK PIECZENI NA MUSZELKACH. Do jasnej zasmażki z łyżki masła i tyleż mąki, rozprowadzonej na gładką masę paru łyżkami mleka, dodaje się dwa roztarte sardelki, soku i skórki cytrynowej, szczyptę cukru, łyżkę siekanych kaparów i ćwierć szklanki kwaśnej śmietany. Sos zagotowuje się, dodaje kawałek jakiejkolwiek pieczeni drobno pokrajanej, nakłada na muszelki, posypuje parmezanem, kropi masłem i zapieka w piecyku.

KARP W PAPRYCE. Kilową rybę oczyszczoną i wymytą kraje się wzdłuż przez pół i następnie w dzwonka na dwa palce szerokie, nasala i odstawia. Do grubego (nieobitego) rondla daje się dwie łyżki masła, średnio dużą posiekaną cebulę, łyżeczkę papryki i smaży cebulę, uważając, aby nabrała koloru, wtedy wkłada się rybę, osmaża każdy kawałek z obu stron, następnie wstawia się rondel na 20 minut do gorącego pieca. 1/4 l śmietany rozbija się z łyżeczką mąki, zalewa nią rybę i dusi dalsze 20 minut, poczem ryba jest gotowa. Ostrożnie wyjmuje się pojedyncze kawałki na półmisek; sos podprawia się żółkiem, przeciera przez łyżkę durszlakową i podaje osobno, lub polewa nim makaron, którym się rybę na półmisku obkłada. Jako dodatek mogą też służyć małe wykrawane ziemniaczki.

KRUCHY TORT Z GLAZURĄ POMARAŃCZOWĄ. 19 dkg masła i 25 dkg mąki pokruszyć razem na stolnicy, dodać 14 dkg mączki cukrowej, łyżkę rumu, łyżkę gęstej kwaśnej śmietany i w razie potrzeby łyżkę **zimnej** wody. Wszystkie te dodatki urabia się na ciasto zapomocą wałka — rękami dotykać jak najmniej, — a kiedy ciasto już gładkie, zawija się je w serwetę i kładzie w chłodne miejsce na godzinę lub dwie.

Tuż przed upieczeniem kraje się ciasto na trzy części i formuje z każdej okrągłą płytkę. W jednej płytce wykrawuje się zapomocą kieliszka lub wykrawacza otwory dookoła płytki na 2 cm od brzegu ciasta

Wszystkie płytki smaruje się jajkiem, układa na blasze na podłożonym papierze i piecze na jasno bronzowy kolor w niezbyt gorącym piecu. Po ostudzeniu pokrywa się dwie całe płytki dwoma różnemi marmoladami, zestawia razem i kładzie na wierzch tę ażurowo powycinaną, którą się pokrywa glazurą pomarańczową. **Przepis na glazurę:** 10 dkg mączki cukrowej uciera się z sokiem wyciśniętym z całej pomarańczy i startą skórką, oraz troszką zimnej wody. Glazurę uciera się na gęstą, przeźroczystą masę, którą się zapomocą łyżki wykłada na tort, uważając aby glazura nie przeciekała do otworków, przez które ma przeglądać ciemna marmolada. Brzegi tortu można obłożyć smażonemi wiśniami lub cząstkami pomarańczy, oblanemi również glazurą.

LIKIER POMARAŃCZOWY. Z trzech pomarańcz okrawuje się cienko żółtą skórkę, kraje ją w drobne kawałki, wkłada do flaszki i zalewa pół litrem dobrego spirytusu. Nalewka musi stać w cieple przez 3—4 tygodni, poczem się ją zlewa i miesza z ostudzonym syropem, ugotowanym z 30 dkg cukru i pół litra wody.

Syrop gotowany być musi przez 15 minut, licząc od chwili zagotowania się; podczas gotowania zdejmuje się pilnie szumowiny, następnie likier filtruje się przez bibułę. Najlepiej filtruje się przez białą bibułę (od atramentu) złożoną kilkakrotnie w ten sposób, że uformuje się z niej w końcu lejek, składający się z samych drobnych wrąbków, z tem że spód musi być oczywiście zamknięty.

Chcąc uzyskać taki lejek, składa się kwadratowy kawałek bibuły przez pół, następnie znów przez pół i tak długo, jak długo się da składać na najdrobniejsze składki. Następnie otwiera się papier górą a wąskim końcem wkłada do szyjki flaszki. Płyny w ten sposób filtrowane są zupełnie czyste: idzie to wprawdzie trochę wolniej, kroplami, ale wystarczy jedno filtrowanie, podczas kiedy przez watę musi się czasem kilka razy przelewać, aby uzyskać zupełnie czysty płyn.

Chcąc uzyskać wódkę silniejszą, dolewa się mniej syropu; chcąc mieć likier słabszy, dolewa się do syropu mniej nalewki, resztę zaś przechowuje się dobrze zakorkowaną w ciemnem miejscu np. w kredensie.

Sc. Ko.

ŚNIADANIE POPIELCOWE



Rozpoczynamy okres wielkiego postu, a z nim zmieniamy bardzo wyraźnie nasze potrawy. Ważne miejsce zajmują wśród nich ryby, śledzie, marynaty, jaja, mleko, jarzyny. Już drugie śniadanie na środę popielcową zmienia wygląd stołu.

Oto przykład, jak można je podać smacznie i gustownie.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 9 — **Luty** — Dni 29
Niedziela **23** Romany	Przystawka z móżdżków z zieloną sałatką. Mięso chrzanowe z ziemniaczkami. Kuropatwy w śmietanie lub pieczona indyczka z mieszanemi jarzynami z konserw. Tort kruchy. Kolacja: Pasztet z majonezową sałatą.
Poniedziałek **24** Macieja ap.	Zupa z jarzyn na śmietanie. Wątróbka cielęca naturalna z ziemniaczkami. Zraziki baranie w pomidorowym sosie z kluseczkami. Legomina ze śliwek suszonych w cieście. Kolacja: Nóżki wieprzowe po wiedeńsku.
Wtorek **25** Anastazji	Rosół z grzybkiem. Sztuka mięsa, zapiekana w pikantnym sosie. Polędwica wieprzowa lub pieczeń z karczku z kapustą duszoną. Pączki lub faworki z miodem. Kolacja: Pieczeń cielęca zwijana z jarzynkami lub sałatką zieloną. Pączki, grog.
Środa **26** Popielec †	Zupa grzybowa. Budyń z włoskiej kapusty. Karp w papryce z makaronem. Ryż z jabłkami. Kolacja: Sznycelki ze śledzia.
Czwartek **27** Aleksandra b.	Zupa cytrynowa z ryżem. Ozorki cielęce w sosie pomidorowym. Pieczeń huzarska z zapiekanemi ziemniaczkami. Budyń bułkowy z sosem szodonowym. Kolacja: Hachée z pieczeni w rancie z kaszki.
Piątek **28** Leandra	Barszcz zabielany. Twarde jaja w sosie śmietanowym. Szczupak faszerowany z ziemniaczkami. Pączki grysikowe z konfiturami. Kolacja: Śledź marynowany, ziemniaczki w mundurkach.
Sobota **29** Romana	Kapuśniaczek z wędzonką. Ziemniaczane pierożki smażone. Zrazy zwijane z kaszą. Kompot z jabłek i śliwek suszonych lub z konserw. Kolacja: Parówki z musztardą.

AS KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo
numer 8 z dnia 23 lutego 1936 roku.

HOCKI-KLOCKI

POMYSŁOWY WŁAŚCICIEL KOLEKTURY.



— *Czy aby wygram na ten los?*
— *Dołożyliśmy z naszej strony wszelkich starań!...*

W ŚWIĄTYNI TEMIDY.

Kapuściński staje przed sądem okręgowym oskarżony o bigamję.

— Wysoki sądzie! — oświadcza. — Proszę o wezwanie na rozprawę mojej pierwszej żony!

— Jako świadka? — pyta sędzia.

— Nie, jako okoliczność łagodzącą!

JASNE.

— Nie wiem, co to jest, że mi wieczorem nogi usypiają...

— Nic dziwnego! Przecież przez cały dzień są w pańskiem towarzystwie!

HUMOR ZAGRANICZNY

WSPÓŁCZESNY BOHATER.



Pojedynkujący się do sekundantów: Czy nie był dobry mój pomysł, że się upodobniłem do terenu? („Ric et Rac")

NIC DZIWNEGO!



— *Wie pani, ja podczas zimy nie ruszam się od mojego piecyka!*

— *Takim pan jest domatorem?*

— *Nie, jestem sprzedawcą pieczonych kasztanów!...* („Ric et Rac")

Rozwiązanie zagadki literowej z nru 6-go „Asa".

W	A	T	A
A	M	O	R
T	O	G	A
A	R	A	K

Słowa, które można ułożyć z 16-tu liter brzmią: wata, Amor, toga, arak.

Rozwiązania z N-ru 6-go.

1. SPRZEDAŻ JAJ.

Możliwie najmniejszą ilością jaj jest 103, dziennie zaś przekupka sprzedawała po 60 jaj.

2. PIĘCIU BANDYTÓW.

Oto jedno z rozwiązań:

A	60×12=720
B	120×3=360
C	170×1=170
D	1200×½=600
E	450×⅓=150
2000	2000

3. SPIS LUDNOŚCI.

Mąż miał lat 40, żona 32, siostra żony 24, syn 8.

4. ZAKUPY PRZEDŚWIĄTECZNE.

Kapelusz kosztuje 30 złotych, laska 60, palto 330.

5. WINO I WODA.

7/24 wina i 17/24 wody.

Zagadka literowa.

Ul. J. Piękniewski, Łódź.

R. EPIKUR

K. EICHMAN

R. KIMONOK

ST. TRAGEN

Litery tworzące nazwiska na poszczególnych biletach, należy tak ułożyć, aby dały nazwę zawodu danej osoby.

RZECZY CIEKAWE I POŻYTECZNE.

— *Płyń babko moja!* — śpiewał zbrodniczy wnuk, po wrzuceniu swej babki do Wisły.

* * *

Podobno woj. Świtalski ma zamiar zmienić nazwisko na *Zmierzchalski*.

* *

Na temat walki rządu z kartelami: *Comedia del cartel.*

NA SCENIE.

Jaracz i Perzanowska w swoim teatrze **„Ateneum"** w **Warszawie** pięknie specjalizują się w odnowieniu starych komedyj polskich. Obecnie pokusili się znowu o danie ciekawego, barwnego i wesołego **„Pana Geldhaba"** Fredry. Doskonałe ramy przedstawienia w formie groteskowych dekoracyj dał Daszewski. Geldhaba gra oczywiście Jaracz. Zdaniem Wierzyńskiego, Jaracz „dał nową wyborną postać, pełną gęstej śmieszności i świetnych szczegółów. Był przytem bardziej rasowy i szlachecki, niż wszyscy „zbiedniali przybysze", goszczący w jego domu". Choć kreacja Jaracza przerasta resztę zespołu, to jednak dobrą obsadę przedstawienia stanowią Łuszczewski (Lisiewicz), Bryliński (major), Chodecki (Rodosław), Daniłowicz (Piórko) i Bonacka (Flora). Publiczność bawi się na tem przedstawieniu wybornie.

W Łucku święcił **Aleksander Rodziewicz** jubileusz pięciolecia pracy kierowniczej na stanowisku dyrektora **Teatru Wołyńskiego im. J. Słowackiego** i 20-lecie pracy scenicznej.

Rodziewicz po sukcesach na scenie krakowskiej i warszawskiej, objął kierownictwo doniosłej placówki teatralnej na Kresach Wschodnich, rozszerzając coraz bardziej zasięg swej działalności, wprowadzając w ramy pięknego repertuaru Teatru Wołyńskiego arcydzieła Słowackiego, Fredry, Szekspira, Shawa, Rostworowskiego („Niespodzianka") i wiele utworów pisarzy współczesnych. Na jubileuszowe przedstawienie odegrano **„Króla Arlekina"** Fr. Lothana z jubilatem w roli głównej.

Teatr w Stanisławowie, kierowany przez Z. Łozińską, rozwija znów ożywioną i wartościową działalność na terenie Ziemi Stanisławowskiej i w bliższem lub dalszem sąsiedztwie. Obecnie dyrektorka teatru przygotowała doskonale **„Carewicza" Zapolskiej**, grając popisową rolę Soni, mając za partnera Daniewicza. Świetną sylwetkę cara stworzył R. Wasilewski. Efektowne dekoracje przygotował St. Węgrzyn.

Teatr Wielki we Lwowie z dużym wysiłkiem przygotował poemat dramatyczny **Ibsena „Peer Gynt"** w przekładzie Kasprowicza. „Peer Gynt" może dziś zająć widzów jedynie jako wielkie widowisko i jako dokument literacki i teatralny. Pronaszko dał dramatowi piękną oprawę sceniczną, ilustracja muzyczna Griega wykonana była bez zarzutu, tak, że widowisko zaliczane jest do jednego z najciekawszych na scenie lwowskiej w bież. sezonie. Wykonawcy dramatu nie mogli mieć tej siły, jaką mieli dawniej wielcy artyści. Białoszczyński, Malanowicz, Kossocka i Brochwicz grali główne role starannie. Reżyserował Tatarkiewicz.

Teatr Nowy w Poznaniu, korzystając z gościnnych występów Nuny Młodziejowskiej-Szczurkiewiczowej, wystawił w jej reżyserji komedję Korzeniowskiego **„Panna mężatka"**. Artystka zagrała równocześnie swą miłą rolę pułkownikowej.

Po Młodziejowskiej przybył do Teatru Nowego artysta sceny krakowskiej **Szubert**, by zabawić publiczność rolą **„Pana Pluskiewki"**.

Najpopularniejszą obecnie, zresztą słusznie, komedją na scenach

To warto poznać...

polskich jest Bus Feketego **„Trafika pani generałowej"**. Gra ją obecnie teatr **Rozmaitości we Lwowie** w doskonałej obsadzie z Bohdańską (generałową), Martini (Gerti), Łęcką (Mizzi), Niczewską (Lola), Leliwą (Antoni), Śliwińskim (hrabia syn) na czele. Zabawnie wyreżyserował lekką komedję Bron. Dąbrowski. „Trafikę" gra także **Teatr w Sosnowcu**, gdzie dyr. Gołaszewski wyreżyserował sztukę i dał jej dobre dekoracje, a Gołaszewska, Arciszewska, Stróżyńska i Krotke podobają się publiczności. „Trafikę" gra także teatr w **Katowicach**.



Aleksander Rodziewicz, dyrektor Teatru Wołyńskiego, który święcił ostatnio jubileusz owocnej działalności artystycznej.

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie wystawił najlepszą ze sztuk **Szaniawskiego „Most"**. Przedstawienie przygotował reżysersko doskonale Bieganski, wydobywając ze sztuki przedewszystkiem, choć niekoniecznie z tem musimy się zgodzić, poetycką nastrojowość. Obsadę przedstawienia bez zarzutu stanowią: Pawłowska (Helena), Wacław Nowakowski (przewoźnik), Staszewski (Tomasz), Biegański (Gość), Woźnik (Janek) i Skassówna (Marysia). **(swb).**

Poszła Jadwiga na rydze.

Pod tym frapującym i dowcipnym tytułem ukazała się w Sali Saskiej w Krakowie **Szopka satyryczna Fr. Alwina, Feliksa Dziuby i Zbigniewa Grotowskiego**. Szopka ta odbiega znacznie od szablonu dotychczasowych szopek politycznych. Pomyślana jest jako pewna całość, wyposażona w akcję i dialogi niejednokrotnie czterech osób. Stanowi to ciekawy eksperyment artystyczny i techniczny w historji polskiego „szopkarstwa", eksperyment, który zupełnie się udał. Teksty szopki są bardzo dobre, bardzo dowcipne, cięte w satyrze, nieprzejaskrawione, dyskretne w złośliwości. Kukiełki wykonane przez Annę Walewską i Wandę Śledzińską, doskonale, niektóre **kukiełki Śledzińskiej** wręcz znakomite w swym artyzmie.

Szopka zasadniczo, poza kilkoma intermezzami, składa się z dwu części: pierwsza omawia politykę międzynarodową, Polski i jej bliższych i dalszych sąsiadów, druga część poświęcona jest życiu artystycznemu i literackiemu. Szopka ta, bynajmniej nie lokalna, może mieć również zasłużone powodzenie i w innych miastach polskich. **(ba**

NOWE KSIĄŻKI.

Serce i prostota, prawda rzeczowa i artystyczna, to zasadnicze cechy twórczości **Gustawa Morcinka**. Najnowsza jego książka **„Ludzie są dobrzy"** (ilustracje Brzęczkowskiego, nakł. Instytutu Wydawniczego Bibljoteka Polska) ma wszystkie cechy talentu i twórczości pisarskiej autora „Wyrąbanego chodnika". Morcinek w jednym z wywiadów oświadczył, że pisze o Śląsku, bo go najlepiej zna i najlepiej zżyty jest z tą ziemią. Pisze o kopalni, bo także najlepiej ją zna ze wszystkich piszących w Polsce. Pisze o dzieciach, bo jako pedagog codziennie z niemi przebywa. W pierwszej fazie swej twórczości Morcinek posługiwał się gwarą w myśl wskazań Żeromskiego, jak sam oświadcza, wskazań źle przez siebie zrozumianych. Dzisiaj jednak Morcinek unika gwary śląskiej, bo minął już okres jej popularności w literaturze. Morcinek rozumie psychologję dziecka, zna dobrze jego duszę i umie na duszę i wyobraźnię dziecka dobrze wpłynąć. „Ludzie są dobrzy" to jedna z najlepszych powieści dla młodzieży. Przeczyta ją jednak z pełnem zainteresowaniem i umysł dojrzały.

Antoni Marczyński wydał ostatnio nową, barwną, sensacyjną powieść, niezmiernie aktualną, p. t. **„Tajemnica władców Abisynji"**. Tajemnicę władców Abisynji, czyli wiadomość, gdzie znajdują się skarby królowej Saby, skarby mogące uratować Abisynję od europejskiej zagłady, posiada w powieści Marczyńskiego zdetronizowany i uwięziony cesarz Lidż Jassu. Akcja powieści Marczyńskiego posiada kilka wątków m. in. emocjonujące i zabawne są perypetje dwu sióstr przyrodnich, podobnych do siebie jak dwie krople wody, a nawzajem się nieznających. Akcja powieści rozgrywa się w przeddzień wybuchu wojny włosko-abisyńskiej. Przeszło 400-stronnicowa powieść składa się z rozdziałów, z których każdy stanowi odrębną całość i posiada własną pointę. **(swb).**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 23 lutego:

10.00: Transmisja nabożeństwa ze Lwowa.
12.15: Poranek muzyczny z Katowic.
14.00: „Ogłoszenia małżeńskie" — ironiczna nowela.
14.20: Muzyka salonowa.
16.15: Muzyka lekka.
17.00: Śląska migawka regjonalna.
17.20: Muzyka taneczna.
18.25 „Śmierć papieru" — holenderska komedja słuchowiskowa.
20.00: Utwory Franciszka Schuberta.
21.00: Na wesołej lwowskiej fali.
22.00: Koncert Orkiestry Marynarki Wojennej.
22.30: Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, 24 lutego:

12.25: Muzyka salonowa.
15.30: Koncert z udziałem A. M. Guglielmetti (płyty).
16.15: Koncert orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
17.00: „W obronie dziecka" — pogadanka.
17.20: Koncert Chóru Dana.
20.00: „Na ostatki" — audycja karnawałowa.
21.00: Piosenki wiedeńskie.
21.30: „Współwędrowcy poetów" — wieczór literacki.
22.30: Muzyka taneczna.

Wtorek, 25 lutego:

12.30: Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej.
15.30: Muzyka salonowa.
17.15: „Nicolo Paganini" — słuchowisko oryginalne.
18.00: Koncert z udziałem solistów.
18.30: Warszawa w literaturze i anegdocie — szkic literacki.
20.00: „Powiedzonka" — monolog.
21.00: Pożegnanie karnawału.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 26 lutego:

12.15: Zadania pani domu — pogadanka.
12.30: Koncert w wykonaniu Zespołu Niny Mańskiej.
15.30: Muzyka salonowa.
16.00: Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną — aud. dla dzieci.
16.20: Recital śpiewaczy.
17.00: Czy warto wierzyć w postęp — odczyt.
17.20: Dla znawców (płyty).
18.00: Koncert Kameralny z Konserwatorjum Warszawskiego.
21.00: XXV audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
22.05: XII Koncert z cyklu „Kwartety smyczkowe Haydna".
22.40: Muzyka salonowa.

Czwartek, 27 lutego:

13.00: Polska muzyka.
15.30: Muzyka lekka.
16.00: Transmisja ze szkoły harcerskiej im. Andrzeja Małkowskiego.
16.15: Utwory na gitarę hawajską i wibrafon.
17.00: Jubileusz zapałki — odczyt.
20.00: Muzyka operetkowa.
21.00: „Hallo! Tu Brygada" — słuchowisko oryginalne.
21.45: Nasze pieśni.
22.10: Koncert symfoniczny.
23.25: Muzyka.

Piątek, 28 lutego:

15.30: Wieniec pieśni śląskich.
16.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.45: Co Łososiowa i Węgorzyca opowiadały sobie ciekawego — opowiadanie.
17.20: Trio a-moll Stefana Malinowskiego.
18.00: Arje i pieśni w wykonaniu Caruso.
20.00: „Manru" — opera Paderewskiego z Teatru Wielkiego w Warszawie.
23.05: Muzyka lekka.

Sobota, 29 lutego:

12.25: Koncert orkiestry kameralnej.
14.30: Muzyka salonowa.
15.30: Orkiestra Salonowa Wiesława Wilkosza.
16.15: „O mądrym królu Salomonie i o motylu, który tupał nóżką" — słuchowisko dla dzieci.
17.15: Nowości z płyt.
18.00: Muzyka baletowa.
20.00: Biuro tłumaczeń — wesoła aud. muz. ze Lwowa.
21.30: Środek na kryzys — wesołe słuchowisko.
22.00: Koncert Orkiestry Symfonicznej P. R.
23.05 „Wiązanki" — aud. muzyczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.